Nr. 12. Poznań, dnia 22 Marca 1908 r. Rok XII.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 35 Telefon Nr. 97 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Nieco o oświacie i czytaniu.

Wyrobiło się w społeczeństwie naszem przekonanie, że najważniejszym czynnikiem, popychającym naprzód nasz rozwój, na wszystkich dziedzinach życia jest czytelnictwo.

Prawdę tę nie nasze społeczeństwo odkryło, lecz przejęło ją od społeczeństw innych, które błogie skutki czytania na sobie doświadczyły.

Zbliża się nowy kwartał, a z nim czas odnowienia prenumeraty, czas, kiedy agitacya za pismami powinna działać ze zdwojoną i potrojoną siłą.

To też wszystkie gazety i czasopisma przepełnione są artykułami, wzywającemi czytelników do agitacyi za wydawnictwem, zapraszającemi do przedpłaty.

Artykuły takie zamieszczają wszystkie pisma bez wyjątku. Czynią to najpoważniejsze, wielkie jak kołdra, pisma angielskie, czynią to najmniejsze gazetki prowincyonalne. Wszystkie bez różnicy odcieni politycznych wołają: abonujcie gazety i czasopisma, rozszerzajcie czytelnictwo, gdyż w tym znaku zwycięstwo. Prasa da wam oświatę, naukę, rozrywkę, wskaże to, co dobre, przestrzeże przed złem, a więc garnijcie się do tej wszystkim przystępnej krynicy oświaty i wiedzy, czem jest prasa.

Jeżeli tak czyni prasa, działająca wśród narodów szczęśliwych, mających własne rządy, które dbają o rozwój jednostek i ogółu, o ile więcej powinna do czytelnictwa nawoływać prasa polska.

Jaki jest los naszego narodu w państwie pruskiem, to każdy z nas wie i czuje. Każdy, kto ma uszy ku słyszeniu, a oczy ku patrzeniu, spostrzega, co się z nami dzieje i co nam w przyszłości zagraża.

Jasną jest też rzeczą, że tylko oświata zdolną jest utrzymać poszczególnych ludzi i narody na powierzchni, boć z oświaty płynie nie tylko zrozumienie swego położenia, lecz poznanie należytych środków obronnych oraz nieodzownych cnót obywatelskish, w które uzbrojony człowiek i naród zdolny jest przetrwać zwycięsko czas burzy i niepogody.

Dawniej urodzenie, majątek, pokrewieństwo i t. p. nie wszystkim dostępne rzeczy decydowały o losie człowieka. Dziś zdemokratyzował i zniwelował się świat. Dziś człowiek własną pracą i oświatą osiąga dobrobyt, przechodzi z niższej warstwy społecznej do wyższej i tem samem zdobywa wpływ, potęgę, sławę, zaszczyty oczywiście i majątek. Dziś nie ma sztucznych zapór tamujących rozwój jednostki. Życie człowieka stało się pełniejszem, bardziej owocnem. Lecz kardynalnym warunkiem wszelkiego rozwoju jest oświata.

Szczęśliwy, kto w rozlicznych wyższych szkołach zdobył wiedzę. Ona to toruje mu drogę do najwyższych miejsc w społeczeństwach ludzkich, daje majątek i znaczenie. Jednakże stosunkowo mało jest takich wybrańców losu. Olbrzymia większość ludzkości skazana jest na zdobywanie wiedzy i oświaty okruchami, dorywczo; musi jej szukać, gdzie się da: w rozmowie z światlejszymi, w towarzystwach rozlicznych, w książkach popularnych, na wykładach publicznych, w gazetach i czasopismach.

Nie może zaś ulegać wątpliwości, że najobficiej z tych wszystkich krynic oświaty, płynie jej strumień w gazetach i czasopismach, gdyż one dostrojone są z natury rzeczy najściślej do wszelkich potrzeb oświatowych człowieka i społeczeństwa. One to regularnie w krótkich ustępach czasu docierają do najszerszych warstw i zabierają głos w sprawach, wymagających omówienia natychmiastowego i wszechstronnego oświetlenia.

Ważność prasy poznali najpierw żydzi i socyaliści. Sławny żyd francuski Cremieux, wielki dobroczyńca swej rasy, mąż stanu i założyciel sławnej „Alliance israelite“, wołał do swych współwyznawców: miejcie zaszczyty i majątki za nic, gdy posiądziecie prasę, wszystko zdobędziecie. A socyaliści nieustannie agitują za wydawnictwami swemi tak, że nie ma w świecie socyalisty, któryby nie był równocześnie także abonentem organu partyjnego.

Wszystkie narody ucywilizowane, wszystkie partye polityczne agitują za swą prasą. Anglia, Ameryka, Francya, Niemcy — to kraje zalane morzem pism. Z Słowian Czesi posiadają potężną i liczną prasę, to też naród ten odrodził się, zrzucił doszczętnie niemiecką szatę i dziś przewyższa wszystkie narody słowiańskie pod względem ekonomicznym i społecznym, i niewątpliwie zająłby pierwsze miejsce w rodzinie słowiańskiej, gdyby nam Polakom dorównał w dziedzinie literackiej i artystycznej, w której znów my, dzię-

ki naszemu geniuszowi narodowemu, prym trzymamy.

Nie dajmyż się więc wyprzedzić! U nas panuje rozdźwięk wielki pomiędzy poszczególnemi warstwami społecznemi. U szczytów mamy wyrafinowaną, może nawet przerafinowaną kulturę, u podstaw brak nam ciągle jeszcze granitu.

Wzmacniajmy się u podstaw. Niechaj najszersze warstwy społeczne, warstwy ludowe, robotnicze, rzemieślnicze, które stanowią podstawę narodu, niechaj te warstwy jak najpilniej garną się do oświaty, do czytelnictwa. Niechaj nie będzie domu polskiego bez pisma, a naprzód będzie postępował cały naród nasz i zwycięsko przetrwa wszelkie burze i nieszczęścia, które się na niego walą.

Wszystkich naszych Szanownych Czytelników prosimy, aby zechcieli sami odnowić abonament na przyszły kwartał, a równocześnie postarali się o nowych czytelników dla naszego pisma. Tygodnik nasz może być z pożytkiem czytany także przez czytelników codziennych gazet.

W sprawach czytelnictwa nie ma i nie powinno być konkurencyi. Nie ma bowiem człowieka, któryby czytał za wiele, za to niestety zbyt jest wielu, którzy czytają za mało, lub wcale nic.

Abonujcie i rozszerzajcie „Pracę".

O polski język na zebraniach.

Jak wiadomo przewiduje § 7 projektu nowej ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach wykluczenie języków „obcych" z zebrań i stowarzyszeń, przepisując, że jedynym językiem mogącym być używanym na wiecach i zebraniach jest niemiecki. „Wielkoduszność" rządu posuwa się jednak tak daleko, że zamierza tam nawet języki nieniemieckie dopuścić... jeżeli taka będzie jego wola.

Ta względność dla języków „obcych" podyktowana jest prawdopodobnie względami na politykę zagraniczną głównie, w pewnej mierze też liczy się ze stosunkami, panującemi wewnątrz państwa. Tak np. bardzo krzywo patrzyłyby rządy paryski i kopenhaski, gdyby Francuzom i Duńczykom niemieckim z reguły zakazano obradować w języku ojczystym; również narażiłyby się Niemcy na nieprzyjemności w świecie, gdyby nie dopuszczały na kongresach naukowych i t. p. innego, jak niemiecki, języka. Zamieszkują też rozległą przestrzeń państwa niemieckiego szczepy nieniemieckie, protestanckie do tego, jak np. Litwini lub Mazurzy, wobec których nie zalecałoby się stosować w sposób zbyt drakoński wzmiankowanego zakazu, gdyż zbytni ucisk mógłby łatwo przyczynić się do rozpłomienienia drzemiącej w tych szczepach niechęci i popchnąć je w szeregi skrajnej opozycyi.

Quieta non movere. Nie drażnić spokojnych, nie poruszać umysłów, nie budzić namiętności — tak sobie może mówi nie bez słuszności rząd i dlatego zostawia sobie w ustawie furtkę, umożliwiającą także dopuszczenia t. zw. obcych języków.

Jedynie my Polacy, którzy według uznania dzisiajszej mądrości politycznej rządu, należymy do wrogów państwa kateksochen, nie mamy się spodziewać ulg, gdyż za nami po pierwsze nikt się nie ujmie, po drugie uznani jesteśmy za żywioł tak dalece nieubłagany, tak do gruntu państwu nieprzychylny, tak na wskroś obcy niemczyźnie, że jedno ograniczenie mniej czy więcej, ani nie naprawi, ani nie zepsuje panujących stosunków, a zawsze przyczyni się do większego zuniformowania zewnętrznego naszych dzielnic polskich.

* * *

Nie potrzeba zaznaczać, że rozumowanie to jest mylne. Każdy z nas wie, że jeszcze dużo można u nas zepsuć przez nierozważną i gwałcicielską politykę. Tej roboty niszczycielskiej dokonywano też bardzo systematycznie.

Jeszcze nie tak dawne są czasy, gdzie Polacy w Prusach zamieszkali spoglądali z pewną zazdrością w stronę Galicyi, lecz słysząc o polityce rosyjskiej w Królestwie, powtarzali sobie: no, tak źle, jak pod Moskalem pod Prusakiem jednak nie jest. Przyszedł w Rosyi przewrót polityczny, a w Prusach coraz nowe ustawy wyjątkowe i zmieniły się bardzo zapatrywania polskie.

Zadowolenia z rządów pruskich wprawdzie nigdy u nas nie było, bo snać być nie mogło, lecz było jakie takie zaufanie, było to uznanie, że gdzieindziej dzieje się jeszcze gorzej, ludzie przyzwyczajali się do tych rządów, stękali i utyskiwali na niejedno, lecz ostatecznie pocieszali się nadzieją lepszej przyszłości.

Tak było jeszcze za czasów przedkulturkamfowych, a później, strącenie Bismarcka i łagodniejszy wiatr, który zawiał ze wstąpieniem ces. Wilhelma II. na tron, zdawał się być pomyślnym dla niejakiegoś polsko - niemieckiego zbliżenia.

Nagle zmieniło się to wszystko. Zaczęto coraz ostrzej się z nami obchodzić, na coraz większe przykrości byliśmy wystawieni, hakatyzm coraz śmielej podnosił głowę, coraz też więcej oddalali się Polacy od Niemców, aż wreszcie doszło do prawie zupełnego zerwania stosunków. Wszystko to działo się bynajmniej nie z winy naszej.

W ostatnich latach, z uchwaleniem noweli osadniczej i z systematycznem rugowaniem polskiej nauki religii w szkołach jeszcze bardziej zaostrzyły się stosunki; a ukoronowało seryę praw wyjątkowych przyjęcie ustawy o wywłaszczeniu.

* * *

Każdy inny naród popadłby po takich przejściach w najczarniejszy pesymizm. Polak jednak, ufny w sprawiedliwość Bożą, jeszcze w tem ciężkiem położeniu umie się pocieszać. Powiada sobie: wywłaszczenie — to nie dzieło narodu niemieckiego, to tylko brzydka sprawka hakatystów, którzy potrafili opanować rząd i sejm pruski. Naród niemiecki nic z tem nie ma wspólnego. Tam, gdzie naród niemiecki ma głos, taka ustawa nigdyby nie przeszła.

Gazety polskie przytaczały mowy sprawiedliwych Niemców w sejmie wygłaszane, a czytelnik polski powiedział sobie: tak, jak ci mężowie, myśli naród niemiecki. Przyjdzie czas, że ta opinia zwycięży powszechnie, jeżeli uda się obalić system wyborczy, na którym sejm dzisiejszy się opiera.

Jest więc u nas zaufanie do narodu niemieckiego, innemi słowy do parlamentu.

W tym parlamencie zaś rozstrzyga-

ją w sprawie klauzuli antypolskiej ci sami wolnomyślni, którzy tak ostro zwalczali wywłaszczenie w sejmie.

* * *

Dotychczas (artykuł ten piszemy we wtorek) wolnomyślni nie zawiedli. Lecz obiegają pogłoski, że część wolnomyślnych pozyska dla swych planów książę Bülow i osiągnie wykluczenie języka polskiego z zebrań i stowarzyszeń.

Gdyby to się stać miało, byłoby to wielką klęską dla nas, lecz i dla naszych przeciwników dobrze by to nie było. Naprzód bowiem rozszerzyłoby się pomiędzy Polakami niezaufanie do parlamentu podobne temu, jakie istnieje w stosunku do sejmu. A byłoby tem szkodliwsze, gdyż zwróciłoby się w znacznej mierze przeciwko narodowi niemieckiemu. Powtóre działałoby takie wykluczenie języka polskiego ze zebrań daleko boleśniej, daleko więcej podniecająco i rozstrajająco, niż wywłaszczenie, gdyż wywłaszczenie ostatecznie nie dotyczy ogółu naszego bezpośrednio, zakaz polskiego języka jednak odczuwałby każdy Polak na samym sobie i wciążby mu ten zakaz ubliżający przypominał, że nie uszanowano nawet najprymitywniejszego prawa jego, prawa natury.

* * *

Wywłaszczanie, jakkolwiek jest rzeczą niesłychaną, potępienia godną, złą, przewrotną, niechrześciańską, sprzeciwiającą się kulturze, to jednak da się jeszcze jakoś przynajmniej wyrozumieć, wytłomaczyć. Ostatecznie nie biorą tu własności ani prawa własności zasadniczo, lecz dają ekwiwalent i pozwalają na nowo nabywać ziemię. Przy zakazie języka, biorą coś, nie dając za to żadnego ekwiwalentu i biorą coś daleko ściślej z człowiekiem i jego ciałem i duszą złączonego, niż własność. Toć język — to cząstka człowieka!

* * *

Ktokolwiek szanuje człowieczeństwo i godność ludzką — nie może zgodzić się na podobne pogwałcenie człowieka.

To też, gdyby wolnomyślni pomogli dokonać hakatystom na nas tego gwałtu zbrukaliby swój sztandar i żadna woda już nie oczyściła by ich z tego błota.

Dowiedliby jeszcze czegoś innego, a mianowicie, że ich opór w sejmie przeciw wywłaszczeniu był tylko lichą komedyą. Wygodnie bowiem było wygłaszać tam płomienne mowy, skoro one praktycznego nie miały znaczenia. W parlamencie zaś opór wolnomyślnych znaczy, rozstrzyga. Tam więc jest ich Rodus, tam niechaj tańczą!

* * *

Wielu Polaków powołuje się na to, że wobec nas stosuje się system, i dla tego, że jest systemem musi dążyć konsekwentnie do naszego pognębienia. Niewątpliwie tak jest. Lecz system ten będzie bezsilnym, jeżeli mu się stanowczo oprze naród niemiecki. Bez współudziału narodu nie można nas nękać. System antypolski w Prusach do czasu ma powolny sobie sejm, który aportuje wszelkie ustawy wyjątkowe, jakie tylko dotąd hakatyzm wymarzył. Lecz my nie jesteśmy wyłącznie tylko obywatelami Prus, jesteśmy przecież także obywatelami Niemiec i ta okoliczność chroniła nas dotychczas od najstraszniejszych ciosów. Wszystkim wiadoma, że system antypolski, potępiany przez większość Niemców, stara się gwałtem wcisnąć także do Niemiec tj. w parlamencie pozyskać decydujące wpływy. Azali wolnomyślni mieliby mu otworzyć na rozcież wrota? Azali chcieliby i z Niemiec zrobić dom niewoli? Toć jasną jest rzeczą, że po zakazie języka polskiego na zebraniach, przyjść może zakaz wydawania gazet polskich, następnie zakaz polskich kazań w kościołach, a nareszcie wyrzucenie polskiego języka wogóle z życia publicznego, a więc z handlu, z rozmowy w miejscach publicznych, a może nawet w rodzinach.

I nie koniec na tem. Bo to, co się dziś dzieje przeciwko Polakom, może później w zmienionej postaci dać się uczuć Niemcom samym. I im będzie można z politycznych, narodowych lub technicznych względów zabierać najistotniejsze prawa, jeżeli one będą w sprzeczności z „systemem," który jest zmienny, bo zależny od zapatrywań, dążności i namiętności sfer kierujących.

* * *

Liberalizm niemiecki stoi przed zadaniem, mającem wielką historyczną donioslość. Ma on pokazać, czy potrafi czuć i działać patryotycznie i prawdziwie wolnościowo, czy też ugrzązł w ciasnym oportunizmie, który działanie swe oblicza nie według zasad i miar niewzruszonych, lecz wedle chwilowej małostkowej korzyści.

Hakatyzm bowiem tłumaczy wolnomyślnym, że bez ograniczenia Polaków, cała ustawa dla rządu nie ma żadnego znaczenia i że cofniętą zostanie. Gdyby to uczynił rząd, udowodniłby, jak mało mu zależy na rzeczywistem uporządkowaniu sprawy zebrań i stowarzyszeń. Pokazałoby się wtedy, że wszelkie ustępstwa poczynione były tylko na to, by wolnomyślnych skusić do pogwałcenia Polaków. Cała ustawa byłaby nie dziełem ustawodawczem, lecz pospolitą łapką na oportunizm ludzki.

* * *

Jasną jest rzeczą, że § 7 wyłącznie zwraca się przeciw Polakom. Pod pokrywką, że rząd nie ma dosyć urzędników, by kontrolować zebrania polskie, ma nam być odjęte prawo przemawiania na zebraniach po polsku. Ubezwładniłoby to oczywiście nasze życie publiczne w wysokim stopniu i wydałoby nas na łaskę i niełaskę rządu, któryby miał prawo pozwalać lub niepozwalać na polskie zebrania i wiece.

Byłaby to krzywda niesłychana, źródło wiecznego rozgoryczenia, rozdwojenia, zamieszania. Zyskałby na tem socyalizm. Nie wiadomo bowiem, czyby Polacy zdecydowali się mówić do siebie publicznie po niemiecku. Zakrawa to przecież — pomijając wszystko inne — na śmieszność, na komedyę. Socyaliści jednak nie żenowaliby się odbywać niemieckich wieców, na których grzmieliby w wymownych słowach przeciw uciskowi hakatystycznemu. Czy lud polski, powiedzmy lepiej, czy Polacy stroniliby od tych wieców socyalistycznych? Czy okazaliby dość odporności przeciwko ponętnym na oko szalbierstwom socyalistycznym?

Kto na to potrafi odpowiedzieć wyczerpująco! Tyle tylko pewna, że socyaliści ostatniemi byliby niedołęgami, gdyby nie starali się uzyskać wpływów na ludność naszą, z chwilą, gdy rząd polskie usta zawiąże. Na Górnym Śląsku np., gdzie socyalizm zapuścił nieco korzeni, trzebaby się obawiać wzrostu socyalizmu, a sądzimy, że i u nas byłyby dla niego szanse niejakie. O tem jednak wolnomyślni pamiętać powinni, że mają w Polakach partyę wybitnie wolnościowo i demokratycznie nastrojoną, lecz wrogą wszelkim przewrotom społecznym, wszelkim zachciankom komunistycznym, wszelkim nienawiściom klasowym, zagrażającym własności i rodzinie, a więc podstawom, na których opiera się porządek społeczny. Niechaj więc nie pomagają hakatystom w destruktywnej robocie i niech nie napędzają zajęcy do kuchni socyalistycznej!

* * *

Co i jak uczynią wolnomyślni, niebawem się pokaże. Nie ma zatem powodu stawiać jakichkolwiek horoskopów. Należy tylko powiedzieć, że jakibądź los nas czeka, znajdzie nas na posterunku. O istnieniu narodów bo-

wiem nie dekretuje się jeszcze w parlamentach i ministeryach. Ono zależne jest od narodu samego i od Tego, który go do życia powołał.

Można nas dręczyć, gnębić, prześladować, nawet zubożyć — lecz wynarodowić nie można, jeżeli my się na to nie zgodzimy. A na to nie zgodzimy się nigdy. Nie zgodzimy się, bo nie chcemy, więcej, bo nie możemy...

Solidarność rolnicza.

Dwa ważne zjazdy odbyły się w ostatnich dniach w grodzie naszym: walne zebranie Centralnego Towarzystwa Gospodarczego, organizacyi rolników większych, i zjazd przedstawicieli Kółek rolniczych, korporacyi rolników mniejszych.

Obie te wielkie organizacye stoją w bliskim ze sobą stosunku, obie pracują nad podniesieniem stanu rolniczego, obie działają od szeregu lat jaknajlepiej i jaknajwydatniej w kierunku organizacyjnym i oświatowym, a ponieważ szeregują w swych kadrach całokształt ziemiaństwa naszego, tej podstawy naszego bytu ekonomicznego, a nawet narodowego, warstwy najmienniejsze i najważniejsze, zatem doroczne przeglądy wiosenne tych szeregów zbożnych mają dla całego społeczeństwa naszego wielce doniosłe, pierwszorzędne znaczenie.

Nie będziemy tu dawali sprawozdania z tych obrad, gdyż prowadziłoby to za daleko. Prasa codzienna zresztą uprzedziła nas już w tej mierze.

Chodzi nam tylko o uwydatnienie jednej i drugiej myśli, która nasuwa się nam w tej sprawie.

Zgoda buduje — niezgoda rujnuje. Stare to jak świat przysłowie, lecz właśnie dla tego tem bardziej prawdziwe.

Jeżeli obejrzymy się po reszcie obszaru ziem polskich, po Królestwie i Galicyi, spostrzeżemy, że tam pomiędzy dworem a chatą nie panuje niestety stosunek taki, jakiegoby w interesie obu tych warstw społecznych i ogółu pożądać należało. O przyczynach tego stanu rzeczy dużo trzebaby mówić. Jest rzeczą stwierdzoną, że w Królestwie np. rząd nienawistny wytworzył i utrzymuje stosunki szkodliwe dla porozumienia wielkiego i małego posiadacza. W Galicyi źródło złego także spoczywa w przeszłości. I tam rząd wywołał rozdźwięk pomiędzy dworem i chatą i dziś lubo zmieniły się stosunki do gruntu, to jednak pamięć dawnych krzywd trwa i jątrzy stare rany. Lecz nie była wina tego stanu rzeczy wyłącznie tylko po stronie rządu. I chłop i pan przez zaniedbanie, przez uprzedzenie, przez egoizm dużo narobili złego. Brakło tak tu jak i tam dwóch ważnych czynników niwelujących społeczeństwa i wygładzających antagonizmy t. j. oświaty z jednej strony, a z drugiej instynktu demokratycznego.

W przeciwieństwie do arystokratycznego Mazowsza a możnowładczej Małopolski nasza Wielkopolska po wsze czasy odznaczała się daleko idącym demokratyzmem szlacheckim, który pod wpływem przejść bolesnych minionego wieku oczyścił się z naleciałości feodalnych i stał się naprawdę rozumnym i chrześciańskim demokratyzmem. Rozkwit oświaty w sferach włościańskich, przeważnie umiarkowano i zachowawczo usposobionych, przyczynił się do raźniejszego postępu tego przeobrażenia i tak stało się, że dziś patrzymy na piękny owoc harmonii i solidarności rolniczej w dzielnicy naszej, owoc, słodycz którego krzepi i wzmacnia całe nasze społeczeństwo.

Wyrozumiałość bowiem, z jaką obie warstwy rolnicze odnosiły się do siebie, z natury rzeczy przenieść się musiała także na stosunek wsi do miasta, gdyż i przeważna część miasteczek naszych ma charakter wybitnie rolniczy. Zupełny brak przemysłu fabrycznego u nas przyspieszał tylko ten proces.

Dalszą konsekwencyę zgody rolniczej, która polega na wyeliminowaniu pewnych egoizmów, a popierana jest przez wzgląd na interes całości, było też szczersze zajęcie się losem robotnika rolnego.

Właściciele zrozumieli, że głodny, niezadowolony, ciemny człowiek gorzej pracuje od człowieka sytego, zadowolonego i światłego. Zaczęto się więc starać o ile możności o poprawę bytu tych licznych rzesz pracujących na roli. A ponieważ wspólne starania o polepszenie własnego bytu, o podniesienie wydajności roli, tudzież pomyślne konjunktury przyszły w pomoc rolnikom materyalnie, było można podjąć rozliczne ulepszenia w interesie robotników rolnych. Zaczęły powstawać lepsze domy mieszkalne, zaprowadzono pracę maszynową, podniesiono zarobki a robotnik sam uczył się lepiej gospodarzyć zapracowanym groszem, mądrzej kalkulował dobytkiem, z postępem oświaty zaś i czytelnictwa zaczął stronić od karczmy i tak powoli wydobył się na wyższy poziom moralnego i materyalnego życia.

Że w całej tej sprawie współdziałał ożywczo brak robotnika i jego wielki odpływ do miast i centr przemysłowych, zaprzeczać nie można. Lecz ta okoliczność, że rolnictwo nasze przy wydatkach olbrzymio wzmożonych na siły robocze nie tylko nie upadło, nie cofnęło się, lecz owszem potężnie naprzód się posunęło, to w wielkiej mierze należy przypisać celowemu, oświatowemu i organizacyjnemu działaniu naszych wielkich organizacyj rolniczych.

Lecz wszystkie te starania nie byłyby odniosły tak dodatnich skutków, gdyby rolnicy, jak za dawnych czasów, byli siedzieli w kieszeniach żydowskich. Tutaj system banków ludowych i spółek oparł swą dźwignię i dokonał wielkiej, epokowego znaczenia rzeczy, wyzwolenia rolnictwa z ssawek żydowskich i ugruntowania go na rzetelnych podstawach materyalnych.

To też ze słuszną dumą patrzy społeczeństwo nasze i wogóle cała Polska na owoce celowej, rozumnej i rzetelnej **cichej** pracy społecznej, która powołać się może na takie wyniki, jakiemi żadna głośna i krewka robota publiczna poszczycić się nie może, a obcy z zazdrością wymieniają nazwiska inicyatorów i kontynuatorów tej zbożnej działalności.

Niechaj kwitnie, krzewi i rozwija się nadal tego rodzaju cicha praca! Akcentujemy tu słowo „cicha praca“, albowiem w ostatnim czasie określenia tego używano z przekąsem, zwolenników cichej pracy traktując z lekceważeniem.

Miano zapewne na myśli darmozjadów, pasorzytów i obłudników społecznych i politycznych. Tych jednak należy nazwać po imieniu, a nie dawać im przydomków zaszczytnych.

Nie każda przemoc łamie, ale każda niewola podli, a najbardziej duchowa niewola.

Stanisław Szczepanowski.

* * *

Kto starej prawdzie bacznie patrzy w oczy,
Zawsze w niej nową wyczyta.

Felicyan Faleński.

* * *

Niedołężna dobroć, podaje złości miecz szalonego do ręki.

T. Jeske-Choiński.

Tydzień polityczny.

W środę, kiedy te słowa piszemy, przyniosły gazety berlińskie wieść, jakoby **w sprawie paragrafu 7, a więc klauzuli antypolskiej językowej**, o którym mowa w jednym z artykułów naszych, **przyszło do porozumienia pomiędzy rządem a wolnomyślnymi.** Ponieważ gazety niejednolicie podają treść owego kompromisu, nie będziemy się o tem rozpisywać. Zaznaczamy tylko, że zgodne są, co do mniemania, że nowa ustawa o zebraniach i stowarzyszeniach przejdzie. Wstrzymujemy się od wszelkich uwag na razie, boć dotychczas nic stanowczego nie wiemy. **Wieści te jednak nic dobrego nie wróżą.**

Na Górnym Śląsku inny przygotowuje się kompromis, jak o tem donosił korespondent „Dz. Pozn.“ i „Katolikowe“ gazety: Kompromis centrowo-polski w sprawie wyborów do sejmu, które się tego roku odbędą 4-go czerwca. „Köln. V. Ztg.“ powitała wieść tę nader sympatycznie, również gazety polskie. Zgoda centrowo-polska na Śląsku jest pożądaną z wielu względów, o czem później, a znaczne powiększenie liczby naszego Koła sejmowego też nie jest bez znaczenia. Dotychczas centrowcy chcą nam podobno odstąpić trzy mandaty na Śląsku. Nie byłoby to wiele, lecz może końcowe układy lepszy dla nas wydadzą rezultat.

Z Królestwa Polskiego nadchodzi sensacyjna wieść o uwięzieniu pani Izy Moszczeńskiej, wybitnej działaczki politycznej radykalnego zabarwienia. Przy rewizyi mieszkania znaleziono podobno obszerną korespondencyą tej pani, która ją mocno w oczach rządu kompromituje.

Narodowa demokracya poniosła wielką stratę przez śmierć ś. p. Jana Popławskiego, wybitnego działacza politycznego, publicysty i jednego z współzałożycieli narodowej demokracyi. Zmarły odznaczał się wzniosłym i czystym charakterem, wielką miłością narodu i rzadką skromnością. To też pisma nie zgadzające się na jego działalność polityczną, podnoszą z uznaniem jego wysokie przymioty osobiste i obywatelskie.

Wybory do sejmu galicyjskiego skończyły się. Skład przyszłego sejmu będzie następujący:

Na 161 członków będzie 136 Polaków, a mianowicie 127 posłów i 9 wirylistów, dalej 24 Rusinów, w tem 11 posłów, a 3 wirylistów, ostatecznie 1 Niemiec.

Rusini dzielą się na 10 moskalofilów, dalej 8 Ukraińców, ostatecznie 3 radykałów, do czego doliczyć należy 3 wirylistów.

Polacy — o ile nie nastąpią jeszcze pewne drobne zmiany w ugrupowaniach — podzielą się następująco: 82 konserwatystów, a mianowicie 73 posłów i 9 wirylistów — tem samem absolutna większość izby, liczącej 161 głosów, dalej 4 centrowców, dalej 18 ludowców, 3 dzikich, ostatecznie 29 demokratów, w czem znów przypada na narodową demokracyę — 12, na polskie stronnictwo demokratyczne — 6, na bezprzymiotnikowych — 11.

W Anglii uspokoiło się rozdrażnienie spowodowane listem, który cesarz Wilhelm wysłał do angielskiego admirała lorda Tweedmoutha. Posądzano cesarza bowiem, jakoby był chciał wywierać wpływ na angielską politykę marynarkową. Pokazało się jednak, że cesarz takich zamiarów nie miał, że list był natury prywatnej lubo spraw marynarkowych dotykał. Sprawa listu zrobiła dużo wrzawy w świecie i na nowo wykazała, że królowie powinni być bardzo ostrożni z pisaniem.

Również *zatarg chińsko-japoński* załagodzony. Sprawa miała się tak: Niedaleko Makao przyłapały chińskie władze celne parowiec japoński naładowany karabinami i nabojami, przeznaczonemi dla południowo-chińskich powstańców. Statek ten zatrzymali Chińczycy i skonfiskowali broń. Japończycy wezwali Chiny do wydania parowca i wypłacenia odszkodowania. Chińczycy się opierali. Nareszcie postawili Japończycy Chinom ultimatum, równocześnie grożąc wojną. Wobec tego wydały Chiny statek i porozumienie nastąpiło. Chiny przyjmują wniosek Japonii w sprawie zapłacenia tejże 21,400 jenów za zatrzymaną broń i ładunek „Tatsumaru.“ Prócz tego Chiny zapłacą 10 tys. taelów za przetrzymanie statku. Japonia zaś zgodziła się wydać surowe przepisy, zabraniające wywozu broni i artykułów wojennych z Japonii do Chin, co jednak nie rozciąga się na terytoryum Makao.

Na Bałkanach chmury. Aby sprawę reform w Macedonii popchnąć naprzód podała Anglia plan, by zamianować w Macedonii gubernatora. Przeciwko temu planowi opowiedziała się jednak dyplomacya austryacka, która, jak się wyraził poseł Armeni w Stampie, raczej wojnę woli niż propozycyę angielską. Myśl ta więc prawdopodobnie upadnie.

Z Wiednia nadchodzą niepokojące wiadomości o stanie zdrowia cesarza Franciszka Józefa. Cesarz od kilku dni cierpi na katar, do którego się teraz przyłączył męczący kaszel. Wobec wieku sędziwego monarchy austryackiego najlżejsze niedomaganie może być w skutkach fatalne. Jednakże jeszcze w poniedziałek przyjmował cesarz księcia Ferdynanda bułgarskiego. Dalsze akty reprezentacyjne odstalowano.

„Wien Journal“ donosi, że przedstawiciele polskiej arystokracyi rodowej w Wiedniu i we Lwowie zamierzają *zbojkotować pod względem towarzyskim* ambasadora niemieckiego przy dworze wiedeńskim, barona Tschirschky'ego v. Bögendorfa, i opuszczać ostentacyjnie wszelkie bale i zebrania publiczne, na których będzie obecny ambasador. Wiedeńskie koła dworskie dokładają wszelkich starań, aby nie dopuścić do tej akcyi odwetowej za uchwalenie prawa o wywłaszczeniu Polaków w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

W Indyach Anglicy mają ciągłe kłopoty z krajowcami. W Tinnevelly i Tuticorin były rozruchy, które przybrały charakter rewolucyi, gdy władze zakazały odbywać zebrań publicznych. W Tinnevelly zniszczył lud budynki rządowe, popalił akta, zburzył pocztę i splądrował handle. Na policyi odbito uwięzionych. Przyszło wskutek tego do strzelaniny z policyą i krwi rozlewu. W całej okolicy panuje niepokój i panika.

W Tuticorinie były niepokoje, lecz obyło się bez krwi rozlewu, gdyż policya postępowała oględnie.

Również w **Persyi** nie dobrze się dzieje. W Teheranie i na prowincyi grasują bandy rozbójnicze, wobec których policya zupełnie jest bezsilna. Mordy i rozboje są na porządku dziennym. Szach zaś coraz ostrzej walczy z parlamentem. Zwolennicy starego parządku zwrócili się do rosyjskiego ministra spraw zagranicznych z prośbą o pomoc. Rewolucyoniści zaś zdążają coraz wyraźniej do jawnej walki. Wskutek wyzywającej postawy zacofańców, coraz więcej się wyłania w kraju i stolicy grup radykalnych i rewolucyjnych.

Także na wyspie **Haiti** lała się obficie krew, gdyż i tam krajowcy podnieśli powstanie. Są obawy, że niebezpieczeństwo wielkie zagraża Europejczykom. Ostatnie telegramy dono-

szą, że do Port au Prince przybyły krążowniki niemieckie i angielskie i czuwają nad bezpieczeństwem białych. Również rząd amerykański wysłał kanonierkę. Podobne niepokoje były już w styczniu b. r. i wiele ofiar w krwi i mieniu powodowały.

Listy od przyjaciół.

Z Prus Zachodnich.

Sprawa Młodzieży naszej w ostatnich miesiącach w kochanej „Pracy“ tak często omawiana, zainteresowała z pewnością wszystkich, którym przyszłość nasza nie jest obojętną. I słusznie. Bo społeczeństwo nie dbające o swą młodzież dowodzi tem samem, że nie dba o swój naród i o swoją przyszłość — o przyszłość powtarzam, bo bez dzielnej i zahartowanej w walce życiowej młodzieży nie mamy przyszłości. Śledziliśmy także z całą uwagą i my młodzi tu w Pr. Zachodnich głosy starszych i młodszych w sprawie młodzieży w „Pracy“ umieszczone. Z głosów tych więc wywnioskować można, że na razie osobne pismo dla młodzieży nie miałoby pewnego powodzenia, natomiast że tem bardziej należy zakładać towarzystwa młodzieży, i ożywić ducha w istniejących.

Lecz czy te wszystkie zamiary i zachęty zdołały zbudzić lub wskrzesić choć tylko jedno towarzystwo młodzieży w któremkolwiek mieście tu w Pr. Zachodnich? — Na to pytanie niestety potakująco odpowiedzieć nie mogę. Byłem świadkiem nawet bardzo ożywionych dyskusyi w tej sprawie na wiecach i zebraniach, lecz — jak to z naszym polskim zapałem często bywa — zakończyło się na... rozprawach. Na wnioski i prośby młodzieży domagającej i proszącej się o opiekę i pomoc w swej sprawie odpowiadali starsi, że zakładanie nowych towarzystw młodzieży wydaje się albo zbytecznem albo nie na czasie. Niech tylko młodzież garnie się ochoczo do już istniejących towarzystw przemysłowych, sokolskich i śpiewackich — mówiono — tam ona wiele skorzystać może, a z czasem pomyślanoby i wtedy o osobnym wykładzie pouczającym lub pogadance dla młodzieży. Zresztą skarżono się na brak sił odpowiednich do kierowania takiem towarzystwem młodzieży — gdyż duchowieństwo w Księstwie, jak wiadomo, olbrzymią część pracy w tym kierunku na swoje barki bierze, tutejsze natomiast po większej części odsuwa się od tow. polskich niechcąc zapewne uchodzić za „agitatorów.“

Że tow. młodzieży tu w Pr. Zachodnich ani zbyteczne ani na czasie nie są, lecz przeciwnie, że jest to sprawa nagląca, o tem chyba rozwodzić się nie potrzeba. Śmiem nawet twierdzić, że są one nam tu więcej potrzebne, niż gdziekolwiekindziej.

Patrząc, jak prawie większa część członków niemieckich „Jünglings-, Turn- i Gesellenvereinów“ składa się z polskiej młodzieży, która nie mając własnych towarzystw, mimowoli łączy i brata się z obcymi, lgnie do nich i przesiąka tak powoli duchem germańskim, pytać musimy, co my za korzyść z tej młodzieży mieć będziemy, — czy ona nie przepadła dla nas na zawsze? — Bo że ona tam nie usłyszy nic o swej ziemi, o swym narodzie, to jest jasne — a jeśli co z naszych dziejów usłyszy — to z pewnością wszystko przekręcone i spaczone i nasz naród poniżające — boć wiemy przecież jak nasi „serdeczni“ nad tem pracować umieją, by wszystko, co polskie, w jak najgorszem świetle przedstawić — i tem samem wydrzeć tę odrobinę miłości, która dla narodu tli jeszcze w sercu naszej młodzieży, zaszczepiona w niej razem z krwią rodzicielską.

Rodzice zaś nieprzeszkadzają temu należycie, owszem cieszą się, że dzieci tak dobrze po niemiecku umieją, a zapominają przytem, że te ich własne dzieci już i wyrazić się w swym ojczystym języku nawet kilku słowy nie mogą.

Czyż ci rodzice nie pomyślą o tem, że przez to wychowują sobie nieraz najzaciętszych wrogów, którzy może później wstydzić się będą, że mieli polskich rodziców, a wstąpiwszy do obozu hakatystów staną się najzaciętszymi wrogami wszystkiego, co polskie?... Lecz spotykałem także młodych, którzy chętnie z Polakami przestawać chcieli, czując polską krew w swych żyłach płynącą, lecz nie mogąc się po polsku wysłowić, do tego nierozważnymi żartami kolegów zrażeni, unikali styczności z Polakami, narzekając na rodziców swoich, nieraz już w grobie spoczywających, że ich nie nauczyli polskiego języka.

Stąd też germanizacya w Pr. Zach. tak szybkie czyni postępy, a rodzice ciężki zdadzą Bogu rachunek za dzieci swoje, których nietylko czytać lub pisać, ale nawet mówić po polsku nie nauczyli.

Lecz nie o tem tu chcę mówić. Rady i przestrogi dla rodziców pozostawiam starszym osobom; moim zamiarem jest wykazanie opłakanego stanu naszej młodzieży, która w towarzystwach młodzieży otrzymać powinna choć w cząstce to, co jej rodzice dać zaniedbali. Najprzód więc prawo zostania członkiem takiego towarzystwa musiałby mieć każdy młody człowiek, który opuścił szkołę. Jest nieodzownie potrzebnem, by młodzież wychodząca ze szkoły a często i z domu rodzicielskiego i wstępująca w termin znalazła opiekę i naukę potrzebną w późniejszem życiu w takiem towarzystwie. Przez to zapobiegłoby się nieraz szukaniu zakazanych rozrywek i zabaw w niebezpiecznych miejscach i tem samem zaprawiałoby się młodzież zawczasu do uczęszczania na zebrania towarzystw, a tem samem i do pracy publicznej. Byłoby to więc więcej towarzystwo terminatorów. Być może, że by to może starszym, już pomocnikom, nie bardzo się widziało zasiadać w tow. obok „uczni“, na których zwykle się jakoś z góry patrzy. Lecz pamiętać trzeba, że tu chodzi o pracę na niwie oświatowej, pracę wspólną młodzieży — więc właśnie starsi przykładem młodszym służyć powinni i mając nieraz już szersze wiadomości, pouczać winni ucznia, który też wkrótce pomocnikiem będzie. W danym razie możnaby utworzyć dwa oddziały: starszych i młodszych członków.

Lecz mnie tu głównie chodzi o terminatorów, którzy przecież na zebrania innych towarzystw mają wstęp wzbroniony i tak błąkając się do 18 a często nawet i 20 roku życia po manowcach, znajdą sobie z pewnością inne niedozwolone przyjemności, szkodliwe dla fizycznego i moralnego zdrowia.

Prezesi towarzystw nierzadko podnoszą, że młodzież garnie się do pracy w towarzystwach.

Tak panowie! Młodzież polska poczuwa się do tej pracy, lecz oczywiście sama potrzebuje pracy nad sobą i prosi was o pomoc w tej sprawie. Dajcie jej *przewodnika dobrego*, któryby chciał nią umiejętnie pokierować i nie zraził się chwilowem może niepowodzeniem i przeciwieństwami, jakie zwykle przy organizacyi nowego towarzystwa się piętrzą, a młodzież zapewnia was, że chętnie się weźmie do pracy nad sobą i później i w towarzystwach przemysłowych i ludowych niejedną wam odda przysługę.

Młodzieniec z nad Wisły.

Z „Żywego Dziennika“,

odczytanego w dniu 9-ym b. m. na wielkiej sali Bazarowej w Poznaniu na rzecz kasy emerytalnej Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów.

Józef Kościelski.

Nad gruzami świątyni.

Jeruzalem, Jeruzalem
Ziemio królów i bogów
Przychodzę do Twoich progów
Jako strudzony podróżny
Żądny wrażenia jałmużny,
Zdjęty tęsknotą i żalem:
Jeruzalem, Jeruzalem.

Jeruzalem, Jeruzalem!
Matko wieszczów proroków,
Pytam u zwalisk Twych stoków.
Kędy jest Twoja Egida,
Królewska lutnia Dawida
Zdobna żałoby opalem?
Jeruzalem, Jeruzalem.

Jeruzalem, Jeruzalem!
Niegodna służebnico,
Odwiecznej prawdy rodzico,
Kędy jest twoja macierza,
Wieczysta arka przymierza?
Upadła przed krzyża palem:
Jeruzalem, Jeruzalem.

Jeruzalem, Jeruzalem!
O ziemio upragniona
Mlekiem i miodem sycona,
Gdzież plony twojej dąbrowy?
Dziś proch pustyni jałowy
Ożywion tylko szakalem...
Jeruzalem, Jeruzalem.

Jeruzalem, Jeruzalem
Wieczysta ty sieroto,
Kędy twych świątyń jest złoto?
Gdzież twe proroki i sędzie,
Gdzież Jeremiasza orędzie,
Dźwięczące przewidzeń żalem:
Jeruzalem, Jeruzalem.

Jeruzalem, Jeruzalem
Wiecznie płacząca wdowo,
Czyż nie wstaniesz na nowo?
Czyż nie okrąży lud wierny
Twoje sadzawki, cysterny.
Ruben i Juda z Neftalem?
Jeruzalem, Jeruzalem.

Jeruzalem, Jeruzalem
Straszne są boże gniewy,
Zamilkły twych świątyń śpiewy:
Tam, kędy pobożna rzesza
Słuchała głosek Mojżesza
Arab wygłasza swe: Salem!
Jeruzalem, Jeruzalem!

Dr. St, Karwowski.

Polacy na Śląsku w XVII wieku.

Do końca XII. wieku był Śląsk czysto polską krainą. Dopiero od tego czasu zaczął się tam z osadnikami niemieckimi rozpościerać język niemiecki, któremu nawet gwałtem torowano drogę. Tak wyrugował Henryk I., książę wrocławski, w r. 1223 chłopów polskich ze wsi Sichowy pod Jaworzem, sprowadzając w ich miejsce niemieckich kolonistów [1]), a biskup wrocławski Jan, który twierdził, że Polacy nie nadają się do pilnej uprawy roli, rozkazał 1495 r. polskim chłopom w Wojcieszkowicach pod Grotkowem, aby w przeciągu 5 lat nauczyli się po niemiecku, grożąc w przeciwnym razie wypędzeniem ze wsi. [2])

Mimo jednak gorliwego popierania przez książąt, biskupów, panów i zakony żywiołu niemieckiego, mówiono jeszcze w XVII. wieku tylko po polsku po wsiach w księstwach cieszyńskiem, raciborskiem i opolskiem, w wielkiej części księstwa brzegskiego, wrocławskiego i oleśnickiego, jako też w rozległych posiadłościach panów na Pszczynie, Sycowie, Miliczu i Stamburku.

Po miastach w owych okolicach przeważał język polski, a nawet rozbrzmiewał obok niemieckiego w niektórych miastach na Dolnym Śląsku. Tak się działo w Brzegu.

Do słynnego wówczas gimnazyum brzegskiego uczęszczało w pierwszej połowie XVII. wieku mnóstwo szlachty polskiej, np. Bielscy, Bonarowie z Balic, Cetnery, Dembińscy, Haleccy, Glińscy, Komorowscy, Lasoccy, Lubienieccy, Morsztynowie, Potoccy, Potworowscy, Różyccy, Suchodolscy, Wielowiejscy, Wiszowatowie, Sierakowscy, Zakrzewscy, Zielińscy i wielu innych. Dla nich to na rozkaz panującego księcia, Piastowicza Jana Chrystyana, miewano w jednem z audytoryów polskie kazania. [3])

Małżonką owego księcia była Dorota Sybila, margrabianka brandenburska z rodu Hohenzollernów, jedna z najzacniejszych kobiet, jakie zna historya. Wiedząc, że Polacy w łacińskim języku gładko się wyrażali, przemawiała z początku do nich po łacinie, ale że język ojczysty każdemu najmilszym, przeto dobra pani, chcąc Polakom okazać, że ich mowę szanuje i ceni, zaczęła uczyć się po polsku i w tym celu przyjęła na dwór swój dwie polskie szlachcianki, panny Zarembiankę i Zychlińską, którym zabroniła odzywać się do siebie inaczej jak po polsku. Jakoż wkrótce tak się w tym języku wydoskonaliła, że z Polakami tylko po polsku mówiła. Lud polski kochał ją za to i wielbił. [4])

Po prawym brzegu Odry wówczas jeszcze także szlachta śląska używała w rodzinie języka polskiego. Z tej to szlachty wziął sobie żonę Stanisław Dyabel Stadnicki z Łańcuta.

Atoli większa część szlachty śląskiej, niemieckiej lub zniemczałej, nie umiała po polsku. Dla tego to współczesny nadworny kaznodzieja brzegski Fryderyk Lucae [5]), wspominając w swych pamiętnikach o tem, że na Śląsku w owym czasie uczono się rozmaitych języków, dodaje, że lepiejby było, aby panowie śląscy uczyli się po polsku, godziwa bowiem, aby się mogli należycie porozumieć z polskimi swymi poddanymi. Że szlachta tego nie czyniła, żałował wielce bywalec po świecie, uczony szlachcic Jerzy Niepolski z Wielkich Jankowic. Natomiast niemieccy mieszczanie na Dolnym Śląsku starali się, aby ich dzieci umiały po polsku w nadziei, że z czasem mogłyby uzyskać donośne duchowne prebendy w Polsce. Najważniejszą jednak przyczyną, dla której śląscy Niemcy uprawiali język polski, były stosunki handlowe z Polską i dla tego to posyłali dzieci do polskich szkół w Kluczborku i Byczynie. [6])

Za czasów wojny szwedzko-polskiej tysiące rodzin opuściły Polskę i osiadły po lewym brzegu Odry około Wrocławia, Oławy i Brzegu, skutkiem czego język polski posunął się bardziej na zachód.

Także w stolicy Śląska, Wrocławiu, dużo przebywało Polaków bądź dla na-

[1]) Tzschoppe und Stenzel, Urkundensammlung. 68.

[2]) Tamże.

[3]) Fr. Lucas, Schlesiens Curiose Denkwürdigkeiten. Frankfurt a/M. 1688, str. 559.

[4]) Denkwürdigkeiten aus dem Leben der Herzogin Sibylla Dorothea von Liegnitz und Brieg wörtlich aus des Rothgerbers Valentin Gierths Haus- und Tagebuche mitgetheilt von Syndikus Koch. Brieg 1830.

[5]) Schlesische Curiose Denkwürdigkeiten. Lichtstern (Lucae), Schlesische Fürstenkrone, str. 825.

[6]) Tamże.

uki, bądź też w sprawach handlowych, dla nich to kazano po polsku w kościele św. Krzysztofora. Był też tam tak zwany „solny rynek,“ gdzie tylko Polacy i Rusini wystawiali swoje towary na sprzedaż.

Atoli pospólstwo niemieckie w Wrocławiu nie było dobrze usposobione dla Polaków. Gdy w roku 1606 Dominikanie Polacy przybyli do Wrocławia po relikwie św. Czesława, pospólstwo obległo i szturmem wziąć chciało klasztor, którego przeorem był wówczas sławny z uczoności Polak, Abraham Zbąski. Tylko dzięki jego energii i przytomności umysłu klasztor uniknął zburzenia.

Niechęć do Polaków wzmogła się w drugiej połowie XVII. wieku. Objawiła się ona jaskrawo w sporze polskich Franciszkanów z niemieckimi o kaplicę w Raciborzu [6]), a zwłaszcza w sprawie Polek w klasztorze trzebnickim, [7]) w którym służyły Bogu panny z znakomitych rodów wielkopolskich — Leszczyńskich, Bnińskich, Szołdrskich, Opalińskich, Małachowskich, Rychłowskich, Pawłowskich, Trzebińskich, Mieczkowskich, Kwiatkowskich, Pruszaków, Krasnosielskich, Bułakowskich, Kołaczkowskich i innych.

W drugiej połowie XVII. wieku było tam Polek 28, Niemek zaś 3, które zresztą także po polsku mówiły.

Że bogaty klasztor trzebnicki znajdował się w rękach Polek, gniewało srodze Niemców śląskich. Na ich to nalegania wydał cesarz Leopold I. 1678 roku rozkaz, aby klasztor przyjmował w mury swoje Niemki i nie odstraszał ich surowością podczas roku próby od powziętego zamiaru poświęcenia się Bogu, wyznaczeni zaś 1684 r. od generalnej kapituły Cystersów komisarze, opaci Bernard z Krasoboru i Augustyn z Kamieńca, zażądali, aby przy stole i innych okolicznościach czytano po niemiecku.

Na tej drodze postępowano dalej. W roku 1699 cesarz Leopold I., który oczywiście zapomniał, że gdyby nie Polacy i Jan Sobieski, byłby przez Turków wyzuty z swych krajów, ostro przykazał, aby klasztor powstrzymał się od przyjmowania Polek, dopókiby $^2/_3$ zakonnic nie było niemieckiej narodowości, oraz by na przyszłość obierano ksieniami Niemki.

Gdy tedy ksieni Kunegunda Kawicka umarła, był klasztor w wielkim kłopocie, bo rozkaz cesarski miał być spełniony, do czego nie miano najmniejszej ochoty, zresztą sprzeciwiał on się zakonnym ustawom. W dzień wyborów przybył do Trzebnicy z komisarzami srogi zwierzchnik klasztoru, opat lubiąski Ludwik i powtórzył rozkaz cesarza. Zebrano głosy, wybór padł na Polkę. Natychmiast unieważnił go opat i nakazał nowe wybory, ale znowu też samą obrano zakonnicę. Rozjątrzony opat ogłosił wybór nieważnym i kazał przygotowywać kajdany i więzy, a zbrojnym pachołkom zajechać przed bramę klasztorną. Ale ani brzęk łańcuchów, ani turkot kół nie zdołały ustraszyć Polek. Zaczem kazał gbur wywlec z klasztoru dwie zakonnice, które posądzał o podburzanie innych i grzmiącym głosem zapytał, czy raczą wybrać Niemkę. Odpowiedziały, że obór nie od nich samych zależy, zresztą w klasztorze jest tylko 5 Niemek, z których jedna za stara, druga za młoda, a trzy zupełnie niezdatne do piastowania urzędu. Zażądał więc opat, aby sobie ksienię niemieckiej narodowości z innego jakiego klasztoru poszukały, na co odpowiedziały, że tego uczynić nie mogą, bo żadnych nie mają znajomości. To rzekłszy, uciekły do kościoła. Ale zawzięty opat rozkazał pochwycić je, okuć w kajdany i trzymać w lochu o chlebie i wodzie.

Opór polskich zakonnic wprawił w gwałtowny gniew cesarza Józefa I. Ani przedstawienia Stolicy Apostolskiej, do której zakonnice apelowały, ani wstawienie się króla polskiego Augusta II. nie zdołały go ułagodzić. W zapamiętałości swej rozkazał komendantowi fortecy brzegskiej wysłać oddział wojska do Trzebnicy celem osaczenia klasztoru, a generalnemu starości Śląska wywieść wszystkie zakonnice, któreby się nie ugięły, pod silną eskortą do czeskich i morawskich klasztorów.

Srogość cesarza, jako też zakaz opata Ludwika przystępowania do Stołu Pańskiego złamały opór zakonnic, które wreszcie w przytomności cesarskich wysłańców czyli raczej siepaczy wybrały ksienię Niemkę.

Takie to stosunki panowały wówczas na Śląsku.

[6]) Weltzel, Geschichte der Stadt Ratibor. Ratibor 1861. 369—376.

[7]) A. Bach. Geschichte des Klosters Trebnitz. Neisse 1859, str. 19—29.

Józef Kościelski.

Thalitha kumi.

Ewangelia św. Marka.
Rozdział V. wiersz 38 i następne.

A gdy do domu wszedł onego
Gdzie legło dziewczę śród posłania,
Wnet odgłos trenu pogrzebnego
Posłyszał, płacz i narzekania.
Więc wszedłszy rzekł im: przecz płaczecie?
I czemu łza na licach lśni?
Na marach legło wasze dziecię;
Lecz co jest śmiercią — któż zrozumie?
Nie zmarło dziewczę, ale śpi,
Thalitha kumi!

A więc się z niego natrząsali,
A on za ręce wziął rodzice
I razem tych, co przy nim stali
I powiódł w śmierci ich świetlicę.
A gdy stanęli po nad łożem,
Śród żałosnego płaczu, łkań,
Rzekł owionięty tchnieniem bożem:
Niechaj się wasza boleść stłumi;
Dzieweczko, tobie mówię — wstań!
Thalitha kumi!

I wstało dziewczę i chodziło.
Do uciech życia znów ochotne,
Bo życie będzie, jako było,
Bo nie umiera, co żywotne.
Wy wszyscy, którym dziś rozpacze
Otuchę wzięły jasnych dni,
Wy wszyscy, którym serce płacze,
Wam mówię, choć żal piersi tłumi;
Nie zmarło dziewczę — ale śpi;
Thalita kumi!

Dzieweczko nasza! na tapczanie
Dzisiaj cię świat umarłą widzi.
A że wierzymy w zmartwychwstanie
Więc nam urąga, więc z nas szydzi.
Ale żeś ducha ty nie dała
Zwątpieniu ani śmierci w dań,
Więc zajaśniejesz zmartwychwstała;
Dziś bożu głos nad tobą szumi:
Dzieweczko, tobie mówię — wstań!
Thalitha kumi!

Łucyan Osten,

Wojsko polskie na placu Saskim.

Godzina 11-ta przed południem — czas parady i przeglądów wojskowych. Dzień pogodny, majowy, słońce świeci wesoło, pogoda prześliczna.

Na środku placu stoi pluton żandarmów w granatowych, z amarantowemi wypustkami mundurach, w błyszczących hełmach na głowie. Na zbliżający się odgłos bębnów i dźwięków janczarskiej muzyki wojskowej rozbiegli się po brzegach placu i rogach przyległych ulic, aby powstrzymać pojazdy i cisnącą się — licznie zgromadzoną publiczność.

Tej samej chwili wchodził na plac miarowym krokiem batalion pułku gwardyi grenadyerów, prowadzony przez generała Franciszka Żymirskiego, dawniejszego legionistę, a sławnego obrońcę Zamościa w 1812 roku. Za nim maszerowali w zwartych szeregach grenadyerzy, milcząco — z pew-

ną dumą — poważnie. Większa ich połowa — to żołnierze napoleońscy, o marsowem spojrzeniu i sumiastych wąsach, zdobni krzyżami legii honorowej i „virtuti militari.“ Weterani, którzy oglądali urocze krainy Hiszpanii i śnieżne a smętne pola Rosyi, teraz złączeni w jeden pułk — są chlubą armii — bo gwardyą.

Z przeciwległej ulicy, od strony Pragi, nadjeżdżał równocześnie, poprzedzony muzyką pułkową — dywizyon pierwszego pułku ułanów, w malowniczych strojach, w amarantowych z błyszcząco białemi kitami i sznurami czapkach ułańskich, nad któremi furkały wesoło, kołysane wiatrem, biało-czerwone chorągiewki. Na czele szwadronu, jakby ironia lekkiej kawaleryi, jechał sławny z tuszy i grubości pułkownik Jan Tomicki, a obok niego najlepszy jeździec armii, szef szwadronu Katerla.

Skoro batalion wszedł na plac, rozwinął się w długi szereg, frontem do ulicy od Belwederu, a na lewem jego skrzydle uformował się dywizyon ułanów. Oficerowie przeglądali jeszcze po raz dziesiąty ubiór żołnierza, patrząc pilnie, czy też wszystkie haftki zapięte, czy na guzikach, broń Boże, jakiej maleńkiej plamki nie widać i czy kutasy kaszkietów po formie do wysokości pierwszego guzika munduru się zwieszają. Wiedzą bowiem z doświadczenia, że najmniejsze uchybienie nieobliczone wywołać może następstwa.

Tymczasem zjeżdżali się konno generałowie czynni w Warszawie i na paradę komenderowani. Najpierw zjawiło się ich trzech, jeden starszy wiekiem, dwóch znacznie młodszych, wszyscy w paradnych, bogato srebrem haftowanych mundurach. Pierwszy to Ignacy Blumer, jeden z niewielu pozostałych przy życiu uczestników z wyprawy na St. Domingo, dwaj drudzy — to Siemiatkowski i Trębicki, najzdolniejsi oficerowie sztabu generalnego armii polskiej. Wszyscy trzej nie przypuszczali wtenczas, że za trzy lata zginą od kul z tych szeregów wysłanych, na które obecnie patrzą i na tem samem miejscu stanie pomnik ku uwidocznieniu ich pamięci, jako „wiernych aż do śmierci carowi.“

Wkrótce potem nadjechał Rożniecki, znienawidzony w wojsku jenerał, brudny na ciele i na duszy, nikczemnik podły, tchórz, naczelnik tajnej policyi, ulubieniec Nowosilcowa. Później Wincenty hr. Krasiński, do niedawna ulubieniec narodu, słynny z gościnności i wystawnych obiadów czwartkowych, — teraz wskutek sądów sejmowych — opuszczony przez wszystkich — wzgardzony. W końcu Zygmunt Kurnatowski, jeden z najdzielniejszych żołnierzy i najenergiczniejszych jenerałów armii — mimo to niepopularny dla zbyt ugrzecznionej uprzejmości wobec wielk. księcia. Lecz niesłusznie, bo on jedynym był oficerem, którego się tów jeneralskich, bo nie potrafił, tak jak oni naginać honoru i sumienia do szału i barbarzyńskich wybryków naczelnego wodza.

Żołnierze natomiast na widok tego wodza, jakoby iskrą elektryczną poruszeni, mocniej przycisnęli broń do boku, a podniósłszy głowy w górę, z uwielbieniem na niego spoglądali, widząc zaś oczy jego ku sobie zwrócone, pokraśnieli z radości i tu i owdzie słychać było pomruk: „Już to Chłopicki, to jeden z tych jenerałów, jakich to żołnierz lubi!“ — Inny zaś wąsal, weteran z pod Saragosy, mruknął półgłosem:



Warszawa przed 75 laty. Krakowskie Przedmieście, Z obrazu Zygmunta Vogla.

Konstanty obawiał i od którego nieraz ostre, choć ze spokojem wypowiedziane słowa prawdy usłyszał.

Wszyscy ci panowie stanąwszy w jednem gronie, wesoło rozmawiali i raz po raz pojedyńczo zbliżali się do berajtera Gawryłły, który dla księcia dzielnego araba po placu przeprowadzał, a którego wypytywali, w jakim kniaź wstał humorze i jak noc przepędził. Powracali z wesołemi minami — widocznie odpowiedź była pomyślna; pewni więc byli, że parada i defil się udadzą, i że chociażby się jakie uchybienie zdarzyło, nie będzie uważane.

W tem nadszedł środkiem placu mężczyzna starszy o imponującej postaci, rysów pięknych, jakby rylcem z kamienia wykutych, ale dumnych, bystrego i przenikliwego spojrzenia; przybrany w długi szary surdut cywilny i takiegoż koloru kapelusz, z pod którego wyglądały siwe, bujne włosy. Strzegący porządku żandarmi, chociaż cywilnych na plac nie wpuszczali, jego wstrzymywać nie śmieli, lecz z uszanowaniem ustąpili. On tymczasem mijając jenerałów, ukłonił się poważnie i dumnie, na co ci nader grzecznym, lecz niechętnym odpowiedzieli ukłonem. To Chłopicki, dawny ich kolega i przełożony, obecnie pozbawiony zaszczy-

— Jużto, jeżeliby kiedyś... coś?... no!... to Chłopic... „Stać! cicho tam!“ warknął młody porucznik, który może to samo myślał, lecz z obowiązku służby zmuszonym był powstrzymać zbyt głośne sentymenty grenadyerskie. On tymczasem przyglądał się z upodobaniem jakiś czas szeregom, naraz się zwrócił i znikł w przyległej ulicy, bo zdala od Belwederu pokazał się powóz odkryty, przez dziarską trójkę ciągniony, nad którym powiewały biało-czerwone pióra kapeluszy generalskich.

To wielki książę Konstanty Pawłowicz, naczelny wódz, w towarzystwie przyjaciela z lat dziecinnych, teraz szefa sztabu armii polsko-litewskiej, jenerał-lejtnanta Kuruty.

Na placu powstał niezwykły ruch: z kilkunastu piersi wypadła naraz komenda: „Stój! — baczność! — prezentuj broń!“ i równocześnie z chrzęstem poruszonej broni, zawarczały bębny,

zadzwoniły trąbki, a kapele zagrały stosownego marsza wojennego.

Konstanty tymczasem powitawszy krótkim ukłonem salutujących go jenerałów, biegł środkiem placu przed front grenadyerów.

Na widok tej postaci barczystej, nieco naprzód podanej, tych rąk ściśnionych, do siebie zaokrąglonych, tych oczu skośnych, gęstemi brwiami zasuniętych, tego nosa krótkiego, mocno zadartego, zadygotało serce w piersiach tych weteranów, którzy niegdyś z najzimniejszą krwią na kartaczami ziejące bateryе śmiało uderzali. Na chrapliwe zapytanie:

— Jak się macie chłopcy? — odkrzyknęli wesoło i całem gardłem:

— Zdrowia życzymy waszej książęcej mości! — był to bowiem dobry wstęp, niezawodny znak dobrego humoru.

Po powitaniu przeszedł Konstanty otoczony wszystkimi generałami i adjutantami pierwsze szeregi, potem zakomenderował niezrozumiale:

—Drugi szereg, odstęp, marsz! — i skoro to nastąpiło, obszedł drugi szereg, gdzieniegdzie się zatrzymał, coś pokazał dowódcy, z których każdy tak długo mu towarzyszył, dopóki jego oddziału nie minął; potem znów stanął przed frontem i zakomenderował: — Drugi szereg przystąp, marsz! — wreszcie dosiadł konia i tem zakończył się pierwszy, zwykle najniebezpieczniejszy akt przeglądu.

Teraz zaczęły defilować oddziały pułku gwardyi w kolumnach, plutonach, w takt według muzyki, najprzód krokiem paradowym, potem podwójnym, w końcu biegiem, jakby do ataku. We wszystkich tych ruchach każdy szereg zdawał się być jednym tylko człowiekiem; nogi, piersi, bagnety i pióra na kaszkietach, ani jednym calem nie odłączały się od całości.

— Tęgo, tęgo! bardzo dobrze! — zacierając ręce, klepiąc się w takt po nodze, wołał Konstanty, a skoro przedefilowały ostatnie oddziały piechoty, zwrócił oczy na szwadron ułanów, który w takt muzyki defilował galopem.

Chłop w chłopa, koń w konia, jakoby baletnice, ledwie ziemi dotykając, przesuwały się kraśne szeregi — w tem trąbki dały sygnał, cały oddział schyla lance w pół ucha końskiego i z okrzykiem „hura“ puszcza się do ataku; lecz za podwójnym znakiem trąbki — konie zaryły tylnemi kopytami w ziemię i jak wyciągnięte sznury zatrzymały się plutony, a lance wróciły na swoje miejsca.. Cichość najuroczystsza panowała w szeregach, tylko słychać było szczęk broni i parskanie niechętnie powstrzymywanych, dzielnych rumaków.

Uradowany książę galopem przypadł przed front — wołając: „Bardzo dobrze dzieci! — „Radzi lepiej!“ odkrzyknęli wiarusy. — „Dziękuję wam — dziękuję! tęgo było — tęgo! Tomicki — dziękuję ci — twoje ułany, szlachta! — szlachta! w rozkazie dziennym ogłosić moje zadowolenie, po formie było, — po formie! szczególniej dziękuję ułanom i ich dowódcy — bardzo dziękuję! — I zacierał ręce, pogwizdywał i cieszył się jak dziecko!

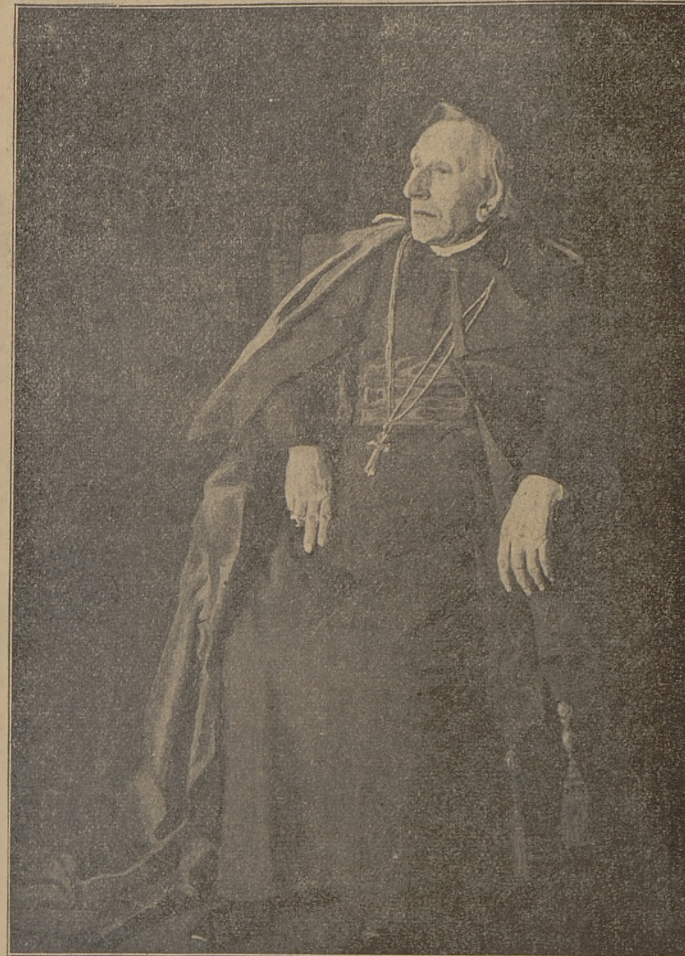
Skończyła się parada, książę w złotym humorze poszedł do pałacu Brülowskiego wydawać rozkazy i przyjmować raporta, a za nim cały sztab i jenerałowie. Oddziały wojska zaś rozchodziły się wesoło i ochoczo, częściowo na warty, częściowo do koszar, zadowolone, że trudną próbę tak szczęśliwie przebyły, że aż w rozkazie dziennym będą wspomniane.

. . . .

Tak wyglądało przed 75-ciu laty na placu Saskim w Warszawie.

Jubileusz arcybiskupi.

W niedzielę ubiegłą upłynęło 25 lat od czasu objęcia rządów nad archidyecezyą warszawską przez *ks. arcybiskupa Wincentego Chościak-Popiela.* Z okazyi tej uroczystości w warszawskiej katedrze św. Jana odprawiono solenne nabożeństwo, które sprowadziło do starej Fary tłumy wiernych.



Ks. arcybiskup Wincenty Chościak-Popiel.

Niezwykle świetny widok przedstawiało presbyteryum, w którem zgromadziła się cała kapituła metropolitarna, przyjezdni kapłani, siostry miłosierdzia i członkowie Archikonfraternii literackiej. Na tronie arcybiskupim po prawej stronie zasiadł Jubilat. W stalach siedzieli ks. arcybiskup Teodorowicz i ks. biskup sufragan Kazimierz Ruszkiewicz. Uroczystą sumę celebrował ks Szlagowski. Kazanie, w którem podnosił zasługi ks. arcybiskupa warszawskiego, wygłosił ks. arcybiskup Teodorowicz z ambony, w otoczeniu kleru.

Po skończonem nabożeństwie obecni dostojnicy kościelni i całe duchowieństwo oraz członkowie bractwa Achikonfraternii literackiej składali życzenia arcypasterzowi.

Właściwy obchód jubileuszowy odłożono do dnia 10-go czerwca r. b., rocznicy ingresu arcypasterza w prastarej katedrze św. Jana.

Ks. K. J. Kantak.

MALBORK.

Ile wspomnień! Dziś Malbork małą mieściną, ale ktokolwiek przejeżdża przez miasto, nie omieszka zatrzymać się i obejrzeć sobie zamku wielkiego mistrza nad Nogatem.

Ile wspomnień! Przed oczyma przeciągają wizje przeszłości. Oto z zameczku Santyr nabytego na książętach pomorskich wyrasta ogromny gród krzyżacki. Siegfried von Feuchtwangen przyjeżdża z Wenecyi. Władanie krzyżackie nad ujściem Wisły czyn dokonany. Powstają z przeszłości cienie tych krwawych rycerzy zakonników: takiego Winricha von Kniprode, którego proroctwo w grobach mistrzów wyniosło na władcę zakonu, a który zginął zamordowany przed drzwiami kaplicy,

takiego Konrada von Wallenrode, za którego podług starożytnego czterowiersza umieszczonego na jego portrecie wojny, głód i zarazy trapiły ludzi, a który zginął okropną śmiercią, bez ostatniego Namaszczenia, bez błogosławieństwa kapłańskiego krótko przed śmiercią jego huragany, ulewy, powodzie szalały; Wisła i Nogat potargały swe groble, za to nurty wyryły sobie nową głębię tam gdzie teraz stoi Piława, takiego Henryka von Plauen, co to ocalił Malbork od Polaków a gdy starał się wznowić karność w zakonie, jęczał lat dziesiątki w lochach zamkowych. Wstawają z pyłu dziejów postaci króla Kazimierza Wielkiego, który tu musiał jechać z przeprosinami, króla Kazimierza Andrzeja, pierwszego „książęcia pruskiego“, co w tryumfie posiadł gniazdo Zakonu. A oto czasy poniżenia zakonu Maryi, jak się zwał: Ulryk Czerwonka, Słowianin, rozkazuje komturom i mistrzom aż im nie wyszły pieniądze a on nie sprzedał Malborka królowi. Z płaczem wielki mistrz Ludwik von Erlichhausen opuszczał zamek idąc na tułactwo. Tak mury te widziały chwałę największą i hańbę największą Zakonu. A jeżeli kto, one to wyrok wydają na niego potępienia. Ile tu łez, ile tu krwi. Kroku nie można stąpić, aby nie usłyszeć z lochów jęki Polaków, Prusaków i Niemców więzionych. Toć tutaj latami przetrzymywano posłów miast i szlachty pruskiej a gdy upominali się o prawa swoje, głowy dawali pod miecz katowski. Stąd wychodziły rozkazy krwawe jak ten, aby wszystkim chłopom dyecezyi chełmińskiej poodcinać prawe ręce.

Ale zamek na krwi i na łzach dźwignięty nie wygląda ponuro. Dzisiaj ma ten mdły charakter łataniny typowo pruskiej. Barbarzyństwo to „odnawiać“ stare gmachy, łatać i dodawać, „rekonstruować“. Gdyby chciał kto tak „odnowić“ wiszącą w strzępach Wieczerzę Pańską Leonarda, tego największego z ludzi, choć pierwszy lepszy pominąwszy obraz lub rzeźbę starożytną czy renesansową, ogólny krzyk oburzenia podniósłby się przeciw niemu. Nikt też w krajach kulturnych nie „odnawia“ zamków starożytnych. Naturalnie co innego podtrzymywać i ochraniać. Ale Malbork znajduje się w Prusach...

Dawniej zamek jak go widać na starożytnych obrazkach, budził i grozę i potęgę i świadczył o mocy tych dzikich mnichów. Dzisiaj wylizany, wypieszczony nie wiele budzi wrażeń. Trzeba je wołać z historyi, wtedy dopiero przyjdą. Prusactwo to system

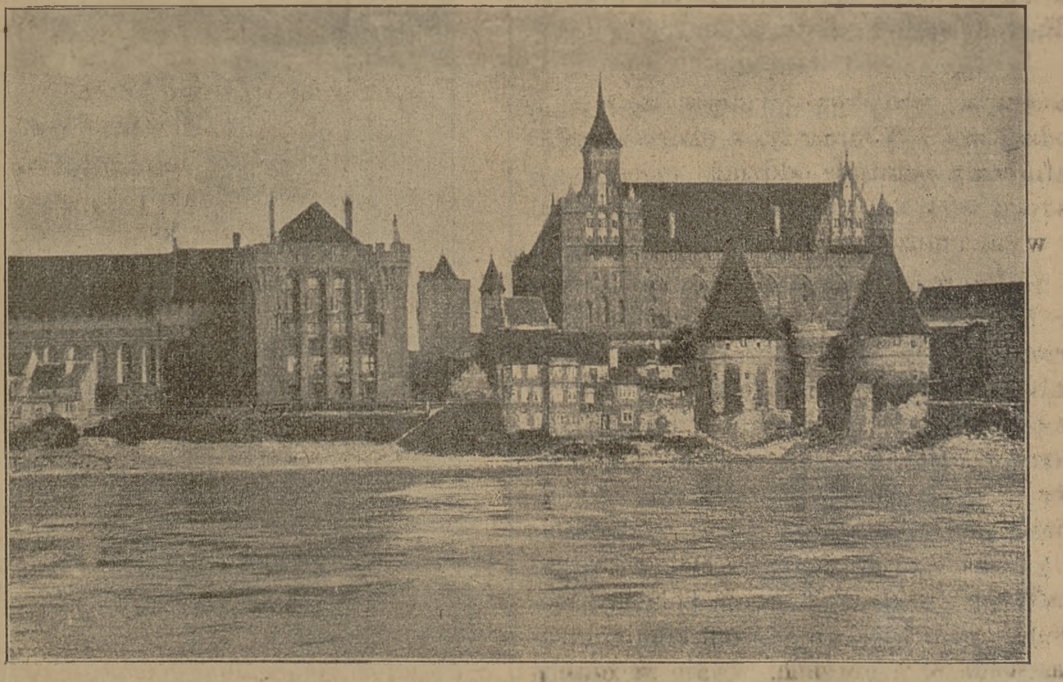


Rycerz krzyżacki.

wrogi wielkiej sztuce i kulturze, jak mówi Klein. A nad innemi najpotężniejsza postać mimo wszelkich anachronizmów, która po długie wieki inaczej świadczyć będzie a potężniej o Malborku i Krzyżakach niż wszelkie reminiscencye z zapylonych papierów i pożółkłych pergaminów. Konrad Wallenrod nie ten historyczny, którego obraz bez wyrazu wisi w „remterze,“ który płaszcz depce zakonny i woła:

Ja to zrobiłem, jakem wielki dumny
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem.

Lecz dajmy spokój wspomnieniom. Od dworca idąc przechodzi się całe miasto po krętych i brudnych uliczkach pospolitego prowincyonalnego miasteczka. Malbork zupełnie niemiecki. Słowa tam nie słychać po polsku. Nareszcie dochodzi się do zamku od strony południowo-wschodniej. Przed sobą mamy burg otoczony głębokim rowem, przez który wiedzie most zwodzony drewniany wązki, że ledwie pomieszczą się nań osoby. Ale tędy wejść nie można. Ta część zowie się wysoki zamek (Hochburg). Zdaleka już wystając z obwodu murów nęci wzrok ku sobie kaplica zamkowa. Nad nią sterczy w niebo wieża, najwyższa z wież malborskich, widna daleko. Do niej to odnoszą się słowa: „*Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono.*“ W absydzie kaplicy mieści się w nadludzkiej wielkości obraz mozaikowy Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus a berłem w drugiej ręce. Obraz barbarzyński, ale imponujący ogromem. Może mało rzeczy tak świadczy o charakterze budowników tego zamku jak właśnie ten obraz jaskrawy a ponury. To nie Madonna renesansu, nie mistyczna Matka Boska Murilla, nie słodka Notre Dame de France, ku której czci koronkowe katedry ścielą swą krasę ku niebu, aby przyjąć ją w wnętrze swoje, to nie czarna i złota Bogarodzica słowiańska, królowa ziemi i nieba, od której płaszcza kule odbijając się padają na wrogów jej imienia a jej obraz zanurzany w morze dobywał nawałnicę i topił statki niewiernych dybiących



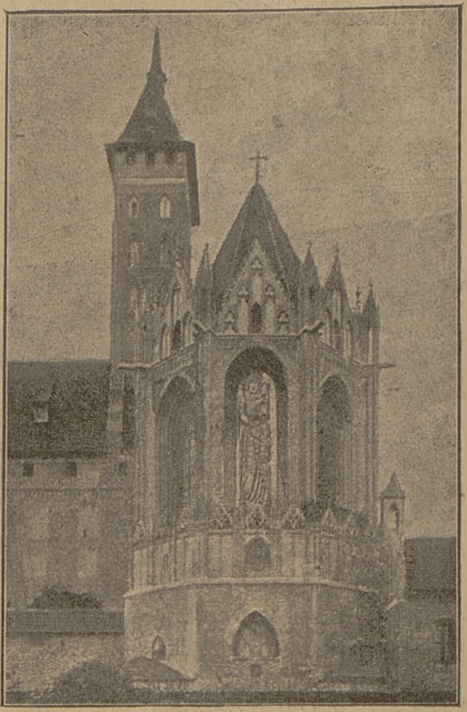
Widok zamku krzyżackiego w Malborku od zachodu.

na jej święte miasto, na Carogród — tutaj w Malborku ta olbrzymia wydobywająca się z trudem z kamieni postać, na której widać jeszcze bezkształt bryły, to Matka Boska tych „wikingów lądowych, opiekunka mnichów, co święcą i mordują ludzi“. Podobniejsza do tych bóstw pogańskich pijących krew ludzką aniżeli do Róży duchownej, do Bramy niebieskiej — taką widziała, taką stworzyła wyobraźnia żywiących się złotem i krwią i łzami.

Za kaplicą rozpoczyna się przezwany wieżą księżą (pfaffenturm) czworoboczną Dolny zamek (Niederschloss). Nic nie przedstawia ciekawego. Dawnemi czasy rycerze i knechtowie tu mieszkali. Długie na kilkaset metrów budynki o jednem piętrze ciągną się aż do łuku ostrego, którego drugie ramię biegnie wdłuż Nogatu aż do zamku średniego (Mittelschloss). Przez ten łuk ostry wchodzi się obecnie do zamku. Podwórzec zamkowy, na którym niegdyś odbywały się turnieje, w środku zarosły trawą, przy budynkach brukowany. Gdy byłem tam latem, właśnie kończono budować ostrołuk. Tutaj z wewnątrz po kamiennych schodach wstępujemy do zamku średniego. Prześliczna to budowa gotycka. Tu było mieszkanie wielkiego mistrza. Dzisiaj widać sale próżne ogromne, odnowione. Kasztelan oprowadzający opowiada wypadki, jakie się tu zdarzyły, kulę pokazuje w ścianie polską. Minęła się z celem. Przeznaczona dla jedynego filaru podtrzymującego salę, w której odbywały się zebrania kapituły, aby pozbawiony starszyzny zamek posiąść z łatwością. Opowiada sceny z czasów goszczącego tutaj cesarza niemieckiego, których obecni Niemcy słuchają z lubością. Nic tu starego, chyba kilka skrzyń, ale i te nie są po Krzyżakach, ale z całego świata pozbierane. W oknach witraże również nowe i brzydkie.

Schodzimy na dół i wchodzimy po moście zwodzonym do wysokiego zamku. Znowu tutaj droga prowadzi przez most zwodzony szeroki, że dwa wozy mogą się wyminąć nad rowem okolnym, który patrzącemu w dół wydaje się jako przepaść. Przed nami otwiera się podwórzec podłużny. Na końcu sklepiona brama do zamku, na lewo w murze furtka do ogrodu wielkiego mistrza (Hochmeisters Garten), w którym utrzymywano menażerye. Ogródek nie wielki co najwyżej z dwieście kwadratowych metrów. Dzisiaj przez środek ganek wiedzie, po bokach zarosły trawą. Dziwnie śród kamieni samych zieleń wygląda. Zdaje się, jakby zabłąkała się z dalekiego świata.

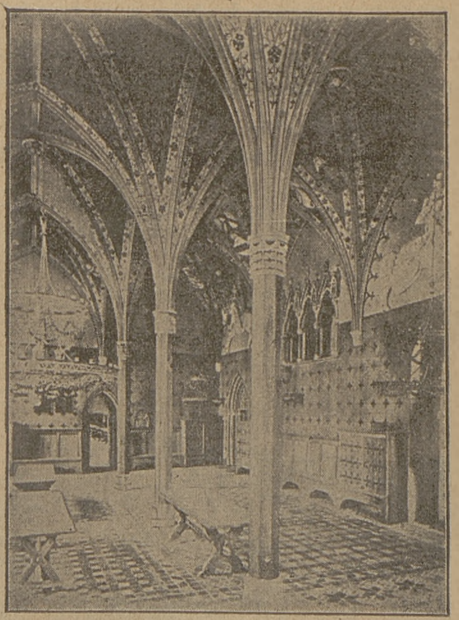
W wysokim zamku archeologicznie kuchnia w podziemiach najciekawsza. Tam dwa drewniane stoły się znajdują, jedyne pamiątki po Krzyżakach.



Obraz mozaikowy Matki Boskiej z Dzieciątkiem w absydzie kaplicy zamkowej w Malborku.

Ogromne ognisko na środku, na którem cesarz niemiecki podczas swego pobytu każe piec zwierzynę.

Na piętrze a raczej na obu piętrach wysokiego zamku „remtery“ urzędowe Zakonu się mieściły. A więc sala kapitulna, w której wiszą portrety wszystkich wielkich mistrzów, sala jadalna, sala „rekreacyjna“ (Erholungsremter). Urządzenie ich nowe,



Sala rekreacyjna (Erholungsremter) w zamku krzyżackim w Malborku.

ale stylowe podług wzorów starożytnych daje pojęcie o tem, jak wyglądały te sale, kiedy

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli Bracia; a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.
Konrad na czele...
Już mistrz powstawszy daje uczty hasło
„Cieszmy się w Panu! wnet puhary błysły,
„Cieszmy się w Panu! tysiąc głosów wrzasło
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

W krużgankach chowają się cele i skrytki. Między innemi pokazują celę pokutniczą, gdzie za karę zamykano winnych przestępstw Braci, lożę zakrytą, skąd Wielki Mistrz mógł się przyglądać bawiącym się Braciom.

Na koniec kaplica. U wejścia zwanego złotemi drzwiami (goldene Pforte) pokazuje miejsce gdzie ukryty w nim Krzyżak napadł na Winricha von Kniperode, wracającego z nieszporów i zamordował go. W kaplicy podobno jeszcze najwięcej zostało się pamiątek starożytnych. Zamieniono ją na protestancką. Na wielkim ołtarzu rozłożona biblia. Niestety presbiteryum zamknięte gęstą kratą, że nie wiele co widać a przynajmniej niełatwo obejrzeć wszystko. Z chłodnych komnat wracamy na gorący w lipcowe południe podwórzec zamkowy i opuszczamy zamek. Wieży okrągłej, w której mieścił się niewyczerpany skarb wojenny Krzyżaków kasztelan nie umie pokazać. Tak samo nie prowadzi do grobu wielkich mistrzów w podziemiach.

Miasto nie wiele przedstawia ciekawego. Opodal zamku pomnik stoi burmistrza Rhodego ściętego na rynku malborskim za to, że wydał miasto Krzyżakom podczas drugiej wojny pruskiej. Nawiasem mówiąc brzydki. Chyba rynek najwięcej budzi interesu. Podłużny zakończony starożytną gotycką bramą ciągnie się na południe zamku. Po obu stronach ponad trotuarem galerye zamknięte górą t. z. altany (lauben).

Miasto Malbork liczy coś 12,000 mieszkańców i poza pamiątkami historycznemi nie różni się od innych miasteczek.

Jest wielu ludzi, którzy na bogatych patrzą jakoby przez dziwne okulary: bogacz głupi wydaje im się mądrym, garbaty — prostym, stary — młodym. W ich oczach pieniądz wszystko zmienia, pokrywa i upiększa. Nie bądź z liczby tych nierozumnych; pamiętaj, że te metalowe blaszki i te płatki papierowe, nigdy człowieka lepszym nie czynią; owszem, nieraz serce przed dobrym czynem zamykają.

Wieczór Pieśni,

pierwszy u nas w Poznaniu, da dnia 22-go b. m. p. *Stanisław Bursa*. Jest on śpiewakiem-pieśniarzem, rozporządza pięknym lirycznym tenorem; oprócz tego jest kompozytorem i krytykiem muzycznym. Śpiewać będzie pieśni wyłącznie nasze i to w ciągu *wykładu* na temat: *Rozwój Pieśni* naszej pod względem historycznym i artystycznym. Usłyszymy utwory Kurpińskiego, Guniewicza, Szopena, Niewiadomskiego, Maszyńskiego, Żeleńskiego, Świerzyńskiego aż do kompozytorów doby najnowszej, do „najmłodszych“, których przedstawiciel p. *Bolesław Wallek-Walewski* będzie p. Bursie towarzyszył do śpiewu.



Stanisław Bursa.

Wieczór urządzony jest staraniem tutejszej „*Lutni*“, której chóry pojedyńcze i mięszane także w niedzielę wystąpią. Koncert odbędzie się na sali ogrodowej Lamberta.

Ponieważ znaczenie jego jest kulturalne, czyli kształcące i podniosłe, przeto zachęcamy czytelników, żeby koncertu nie opuścili.

Ceny przystępne, bo już od 50 fenygów.

Ignacy Friedman.

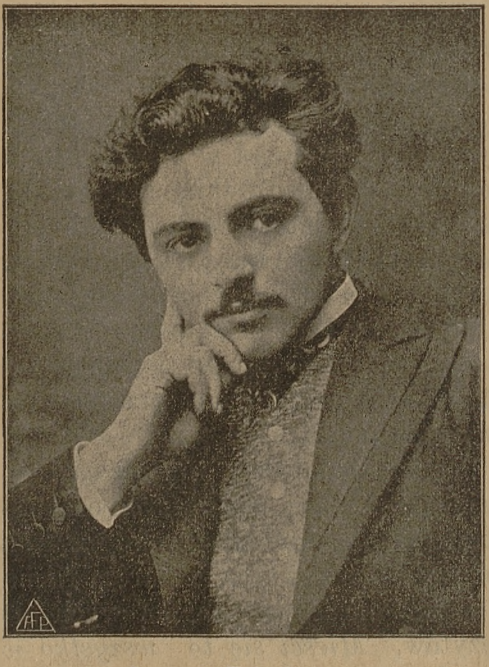
Niżej podana rycina przedstawia jednego z najgłośniejszych współczesnych pianistów naszych, Ignacego Friedmana, który koncertuje w czwartek dnia 19 b. m.

Ignacy Friedman urodził się 14-go lutego 1882 r. w Krakowie. Od najmłodszych lat okazywał nadzwyczajny talent muzyczny, wcześnie też zaczął się kształcić w muzyce. Przez długie lata uczył się młody artysta gry fortepianowej u znanej zaszczytnie w artystycznych kołach krakowskich p. Flory Grzywińskiej. Po ukończeniu gimnazyum udał się do Lipska. Tam pracował kilka lat pod wytrawnem kierownictwem Riemanna, uczęszczając równocześnie na prelekcye uniwersyteckie, gdzie studyował teoryę muzyki i naukę kompozycyi. Ostatnim jego nauczycielem był sławny mistrz wiedeński Teodor Leszetycki, z którego to szkoły wyszedł cały szereg pierwszorzędnych artystów.

Po takiem przygotowaniu zaczął Ignacy Friedman zbierać laury w rozlicznych centrach artystycznych, a krytyka europejska jednogłośnie zaliczyła go pomiędzy pierwszych wirtuozów fortepianu.

Od dwóch lat jest Friedman profesorem konserwatoryum lwowskiego, gdzie objął kierownictwo najwyższej klasy.

Lecz nietylko odtwarzającym artystą jest Friedman. Próbował sił także na polu kompozytorskiem i stworzył przepyszne dzieła muzyczne. Najbardziej znane są cykle jego: „Causeries“ i „Miniatures“. Bardziej popularne są jego pieśni. Wyliczamy niektóre tytuły: „Krakowiak“. „Dla czego?“ „Poleciały pieśni moje“. „Limba“. „Między nami nic nie było“. „Kwiat po kwieciu jabym rwał“. „Leci piosnka“ i inne. Kompozycye te przyniosły mu w nagrodę piękny hołd. W Zakopanem bowiem podczas koncertu „Pomocy bratniej“ wręczono mu srebrne pióro z dedykacyą: „Ignacemu Friadmanowi, genialnemu kompozytorowi pieśni polskich“.



Ignacy Friedman.

Omówienie koncertu czwartkowego pozostawiamy do następnego numeru, gdyż pismo nasze w czwartek już idzie do druku. Powyższa notatka zatem przed koncertem jest napisana.

Apostolos Melachrinos

Zamieszczona na drugiej stronie rycina przedstawia podobiznę młodego i znanego w świecie literackim, greckiego pisarza p. Apostolosa Melachrinosa.

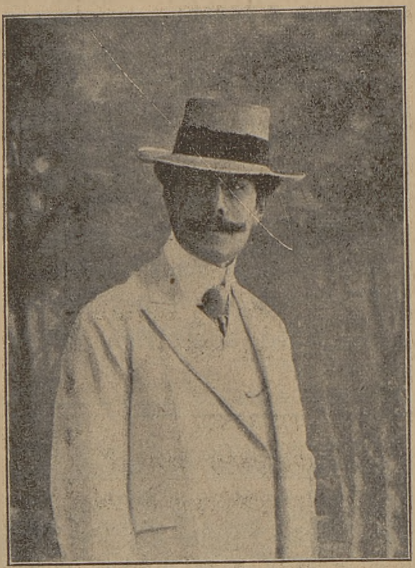
Dziwna rzecz, Grek, wielki miłośnik historyi i literatury polskiej, a szczególnie w ostatnich czasach dał się poznać liczniejszemu ogółowi przez wystąpienie z piorunującemi artykułami w pismach greckich, wychodzących tutaj w Konstantynopolu, Atenach i Odessie. Lecz w tem ostatniem mieście z przyczyn łatwo zrozumiałych, redakcya pisma „Kosmos“ odmówiła pomieszczenia jego artykułu, motywując tem, że pomieszczając artykuł anti-niemiecki mogłaby się tylko narazić rosyjskiemu rządowi.

Apostolos Melachrinos urodził się w 1880 r. w Atenach i pochodzi z rodziny powszechnie szanowanej w Grecyi. Będąc jeszcze młodzieniaszkiem, po ukończeniu studyów gimnazyalnych był już zaliczany w poczet poetów greckich szkoły nowszej generacyi.

W r. 1902 założył pismo w Atenach p. t. „Życie“, w którem debiutował obok pierwszorzędnych sił nowogreckich, jak Gabrielidi, dyrektor Akropolisu i wielu innych. Wiersze jego budziły zachwyt nietylko w Grecyi samej, lecz także w Paryżu, gdzie

niektóre zostały przetłomaczone przez najwybitniejszych hellenistów francuskich. Jego byzantyńskie rapsodye, legendy, jego pieśni erotyczne, ujęte w formę symboliczną, zjednały mu rozgłos i sławę. Recenzye dzieł jego pomieściły pisma takie, jak „Mercure de France“ i „Revue de deux Monds“.

Tyle o nim jako o poecie. Jako pracownik dał się p. A. Melachrinos



Apostolos Melachrinos.

poznać szerszemu ogółowi, występując w pismach greckich codziennych z obszerniejszemi artykułami przeciw hakatystycznemu barbarzyństwu pruskiemu, a w obronie uciemiężonego narodu, którego jest szczerym i bezinteresownym przyjacielem i wielkim miłośnikiem historyi i literatury polskiej.

Konstantynopol, 7. III. 1908.

Dr. filozofii J. Fruziński.

Z bieżącej chwili.

Car podpisał petycyę sądu wojennego i zamienił wyrok śmierci, wydany na generała Stoessel'a z powodu kapitulacyi



Generał rosyjski Stoessel.

twierdzy Port-Artura, na dziesięcioletnie więzienie w twierdzy z wydaleniem z służby wojskowej i degradacyą.

Z życia Polaków na obczyźnie.



Koło śpiewu „Sobieski“ w Herten w Westfalii.

Założone w 1900-ym roku za staraniem druha, Franciszka Rybarczyka. Obecnym prezesem jest p. Ignacy Szynkowiak, a dyrygentem znany na obczyźnie p. Ludwik Kubiaczyk z Bruchu. Koło liczy członków 50; nagród otrzymało 6.

Rycina powyższa wykonana jest według pocztówki, którą odebraliśmy w tych dniach. Na odwrotnej stronie napisano, co następuje:

„Serdeczne pozdrowienie z obczyzny zasyłamy wszyscy. W odpowiedz naszym wrogom za wywłaszczenie, zapisujemy sobie wszyscy naszą kochaną „Pracę.““

Oby za przykładem tych dzielnych Wiarusów poszli wszyscy Polacy, którzy pism polskich nie czytają! Gdyby każda ustawa antipolska przysparzała prasie polskiej tysiące czytelników, nie byłyby ich skutki tak straszne.

Bracia, garnijcie się do „Pracy“, my zaś będziemy się starali i nadal ciągle ulepszać nasze pismo, by wam jaknajlepsze oddawało usługi.

* * *

Odpowiedź Redakcyi.

Gronu Czytelników z okręgu pocztowego St. Za miłe słowa uznania, jakie Szanowni Panowie byliście łaskawi przesłać nam z powodu naszego artykułu p. t. „Koniec dramatu“, najserdeczniej dziękujemy, również za życzenia dobrego rozwoju dla naszego pisma. „Praca“ jak dotąd tak i nadal pragnie służyć jaknajlepiej społeczeństwu, a wielki wzrost liczby czytelników potwierdza, że na dobrej jesteśmy drodze. Prosimy zachować nam Swą względność i życzliwość i nadal.

Obrazki świetlane.

Właściciel znanej drogeryi „Universum,“ pan B. Śniegocki, założył pierwszą na całym świecie polską fabrykę pięknych obrazków świetlanych. Wyrabiano ich dotąd w obcych fabrykach dużo, lecz wszystkie o treści dla nas obcej. Oglądaliśmy na nich piękne miasta, krajobrazy, góry krajów obcych, jednakże nic, coby zapoznawało lud nasz z krajem naszym. Fabryka pana B. Śniegockiego wyrabia jednakże przedewszystkiem przezrocza o motywach polskich.

Posiada pomiędzy innemi całe serye obrazów miast, gór naszych oraz reprodukcyi obrazów sławnych naszych malarzy. Do seryi tych dostarcza firma ta pięknie opracowanych, gotowych już odczytów. *Mieści się to wszystko w powiększonym i specyalnym składzie fotograficznym tuż obok drogeryi przy ul. Rycerskiej nr. 37 pod firmą „Camera;“* dawniej miał p. B. S. artykuły fotograficzne w jednym handlu z drogeryjnemi, lecz wskutek wzrastającej wciąż liczby odbiorców okazały się ubikacye te za małe, więc je rozdzielił, tworząc osobny skład drogeryjny i osobny fotograficzny. Widzieć też w nim można prawie o każdej porze dnia skład zapełniony lubownikami sztuki fotograficznej. Równocześnie z otwarciem „Camery“ zaprowadził właściciel jej także sprzedaż fonografów i gramofonów najnowszych konstrukcyi.

W końcu zwracamy baczną uwagę pp. fotografom - amatorom i wszystkim miłośnikom sceny swojskich (patrz zamieszczony w zeszłym zeszycie artykuł p. t. „Prośba“ na stronie 335-ej) na drugostronnie zamieszczone ogłoszenie p. B. Śniegockiego.

U stóp cysterny w Sychar.

Patrz: rycinę albumową.

Rzekł jej Jezus! Niewiasto! wierz mi, iż idzie godzina, gdy na tej górze ani w Jeruzalem nie będziecie chwalili Ojca.
Ś-ty Jan IV. 24.

... Bóg jest duch, a ci, którzy go chwalą, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie.
Ś-ty Jan IV. 24.

I potem, judzką opuściwszy ziemię,
Skierował kroki ku rodzinnej stronie,
Gdzie Nazarejski lud w spokoju drzemie.

A była spieka... słońce żarem płonie:
W drodze dalekiej opuszczają siły,
I pot wystąpił Mistrzowi na skronie,

A szedł łanami, co przekleństwem były
Na ustach żydów, gdyż zakonu słowa
W sercu Samaryi już dawno nie żyły...

Szedł i na piersi opadła mu głowa;
I cała postać łabędziej urody
Jako kłodzina chwieje się palmowa.

Zapewne dumał nauczyciel młody,
Dla czego ludzi rozprzęgły zakony
I jakby wspólne zgotować im gody.

I tak myślami i drogą znużony,
Gdy się przybliżył pod mury Sycharu,
Usiadł na stopniach cysterny żłobionej.

A oto palmy chronią Go od skwaru,
Porozplatane rozpuściwszy włosy
Nad tą postacią tonącą śród czaru:

Albowiem dołem lśnią kwieciste wrzosy,
Na które słońce zlewa ogień złoty,
A tam po nad Nim błękitne niebiosy

Porozpinały szafirów namioty,
Jasne, przeźrocze, jak cysterny fale,
Owitej w bluszczu nieskalane sploty.

I zdało Mu się, że serce w krysztale
Zatopił całe i że dusza wzrasta
W nadziemskim czarze i w nadziemskiej chwale...

A w tem od strony niewiernego miasta,
Bosa i z krużą miedzianą na głowie,
Jakaś ku studni zbliży się niewiasta.

I Mistrz wnet ku niej zwróci się i powie:
„Pozwól mi napić z twojego się dzbanka,
Pragnę, a w drogi dopierom połowie“.

I zadziwiona tem samarytanka:
„Azaż żydowi pić z nieczystej krużę?“
Rzecze, Pańskiego zmierzywszy baranka;

„Wy w Jeruzalem, a my na tej górze
Chwalimy Pana zwyczajem odmiennym,
Więc nie tą stroną czynić ci podróże“.

A Chrystus, wzrokiem spocząwszy płomiennym
Na jej obliczu, do niewiasty rzecze
Głosem, płynącym strumieniem, brzemiennym

W słodkie rozdźwięki; dźwiękiem, który ciecze
Jako ten ruczaj, gdy rozpłyną lody,
Albo tak bije, jak serce człowiecze,

Gdy zakosztuje rozkosznej swobody
I w niebo rwie się swobodnemi pióry —
„Przyjdzie“ powiada, „o, przyjdzie czas zgody,

I nie Garizim ani święte mury,
Lecz duch człowieka w świątnicę się zmieni
I Ducha sławić będą duchów chóry...“

Jan Kasprowicz.

Popis

wyższej szkoły muzycznej p. Haliny Drygas.

W zeszłą niedzielę odbył się na wielkiej sali Bazarowej popis licznych uczennic i uczniów, kształcących się w grze fortepianowej w wyższej szkole panny H. Drygas. Był to zapewne dzień ciężki tak dla kierowniczki instytutu, jak dla młodych adeptek i adeptów Polyhymnii, boć chodziło przecież poniekąd o złożenie egzaminu przed szerszą publicznością. Ile ćwiczenia, ile starań, ile zabiegów, potu i nerwów kosztowało przygotowanie tego wieczoru! I nie tylko na estradzie panowała trema, również w audytoryum rodzice drżeli, gdy ich pociechy zasiadały do fortepianu, boć, jak to łatwo zaciąć się, stracić wątek i głowę — szczególniej uczniowi, który, żeby był najlepszy i najpilniejszy, absolutnie pewno nie gra i grać nie może.

Jednakże nie zaszła żadna tego rodzaju niespodzianka. Niespodzianka, którą należy zawsze z wielkiem prawdopodobieństwem przewidywać. Przeciwnie. Wszystko szło gładko, jak z płatka. Grano na pamięć, grano dobrze, ze zrozumieniem, z werwą.

Szanując skromność uczennic i uczniów panny Drygas, nie będziemy wymieniali nazwisk, ani wyłuszczali granych sztuk. Nie chodzi też tu o wynoszenie jednych ponad drugich, gdyż z jednej zagranej sztuczki nie można sądzić o umiejętności i talencie ucznia. Z całości tylko system i szkołę

sądzić można. To też jeżeli piszemy tu o tym popisie, czynimy to, aby podnieść, że w instytucie panny H. Drygas posiada Poznań wyborną szkołę muzyczną, zakład, gdzie można dzieci posełać z tem zaufaniem, że nauczą się czegoś rzetelnego w muzyce i mogą się przygotować należycie do późniejszego studyum na konserwatoryum.

Popis niedzielny powinien był zadowolić wszelkie te wymogi, które słusznie stawiać można. Grano kilka rzeczy na dwa fortepiany, tj. na 8-rąk, oprócz tego szereg produkcyj solowych, pomiędzy ostatniemi rzeczy trudne, wymagające sporo techniki, zrozumienia i tego, co Niemiec nazywa „Vortrag“.

Wszystko to wypadło bardzo ładnie, niejedno doskonale. Te odcienia jednak zależą mniej od szkoły, jak od talentu ucznia. Szkoła zaś — a to jest główne jej zadanie — wyrobiła w uczniach pewne, miękkie uderzenie, nauczyła ich grać ligato, brać staccata przepisowo, używać należycie pedału, grać w takcie, trzymać ręce, jak się należy, grać palcami, a nie całą ręką, słowem te elementarne zasady muzyki, brak których uniemożliwia później wszelki postęp i wyklucza grę artystyczną. To też w początkach najlepszy nauczyciel muzyki, właśnie jest najbardziej potrzebny. Jeżeli grunt jest położony dobry, łatwiej później zdążać do szczytów, bez niego — niemożliwie.

Popis niedzielny wykazał, że pod tym podstawowym względem szkoła panny Drygas najzupełniej wypełnia zadanie. Również na pochwałę zasługuje ta okoliczność, że p. D. stara się o to, aby uczniowie jej grali z pamięci, bo tylko w ten sposób mogą dotrzeć do zrozumienia i należytego oddania utworu. Bardzo ważne jest granie na kilka rąk, na dwóch fortepianach, wyrabia to samodzielność w uczniu, poczucie taktu i zmysł oryentacyjny.

Słowem system panny Drygas najzupełniejsze zasługuje uznanie, co też w audytoryum podnoszono.

Piękne skrzydła koncertowe pochodziły z magazynu p. prof. Drygasa.

R.

NASZE RYCINY.

Bociany.

Dnia 21-go b. m. rozpoczęła się według kalendarza wiosna, więc powróci do nas niebawem ptastwo z ciepłych krajów, a między niem ulubione przez wszystkich, mianowicie przez dzieci, bociany dla tego, że przynoszą im rzekomo „braciszków“ i „siostrzyczki.“ Tę wyobraźnię czy też bajkę ze świata dziecięcego obrazuje świetnie zamieszczona rycina.

* * *

Głodna.

Artysta - malarz, W. Wodzinowski, przedstawia na swym obrazie, którego zamieszczamy reprodukcyę, głodną dziewczynkę, wybierającą łyżką z garnuszka z wielką troskliwością resztki strawy. Rycina świadczy wymownie o prawdzie, mieszczącej się w przysłowiu: głód najlepszy kucharz.

* * *

Biała dama.

Biała dama to postać legendowa; według wiary ludowej ukazuje się ona w niektórych zamkach książąt panujących, a ukazanie się jej zapowiada zwykle jakieś ważne w tych rodzinach wypadki bądź smutne, bądź radosne. Biała dama uważaną jest za prarodzicielkę tego domu książęcego, który nawiedza jako duch opiekuńczy. Z wielkim nastrojem ujęta jest na rycinie wyrazistość duchowa przedstawionej na obrazie postaci kobiety.